Nr. 1 rok II
15 gr.



MŁODY NURT



TREŚĆ NUMERU:

OGÓLNA WARTOŚĆ NAGRÓD 5000 ZŁ.

O G Ł A S Z A M Y

WIELKI KONKURS WAKACYJNY

dla ogółu młodzieży szkolnej i maturzystów

WARUNKI KONKURSU

I. OGÓLNE:

1. Udział w konkursie może brać młodzież szkolna i maturzyści.
2. Ostateczny termin nadesłania prac konkursowych upływa z dniem 15 października 1938 roku.
3. Prace konkursowe winny być opatrzone dopiskiem „KONKURS".
4. Praca winna być opatrzona dowolnym godłem. Należy do niej załączyć zapieczętowaną kopertą, zawierającą godło, imię i nazwisko, nazwę i siedzibę szkoły, miejsce zamieszkania i wiek.
5. Konkurs dzieli się na trzy równorzędne działy. **Każdy uprawniony do konkursu może nadesłać jedną, lub więcej prac do każdego działu.** Każda praca winna być opatrzona innym godłem i osobno opakowana.
6. **W każdym dziale są trzy nagrody główne, trzy nagrody wyróżnienia oraz trzy nagrody pocieszenia.** Ogółem w konkursie wyznaczono 27 nagród. Ponadto prace nie nagrodzone a zasługujące na uznanie będą premiowane.

II. SZCZEGÓŁOWE:

DZIAŁ 1-szy — FOTOGRAFIA

Wykonać przynajmniej jedno z następujących grup zdjęć fotograficznych:

a) Portret ludowego typu regionalnego (np. górala, ślązaka, kaszuba, mazura, kurpia itp.).
b) Krajobraz posiadający wybitny charakter ziem polskich.
c) Zdjęcie obrazujące dorobek Odrodzonej Polski (szkoła, fabryka, dom ludowy, mosty itp.).
d) Zdjęcie podpadające tematem pod dział „Radość życia".

Zwrócić należy uwagę na artystyczne i pomysłowe ujęcie tematu.

WARUNKI DODATKOWE

1. Wszystkie zdjęcia muszą być wykonane na błonach „Kodak", na dowód czego należy dołączyć do zgłoszenia puste opakowanie takich błon.
2. Zdjęcia na Konkurs należy nadsyłać w oryginalnym formacie (odbitki stykowe).
3. Odbitki na Konkurs muszą być wykonane na papierze „Kodak" (napis Velox na odwrocie).

DZIAŁ 2-gi — TURYSTYKA

A) Opis jednostkowego (lub zespołowego) wyczynu turystycznego z dziedziny:
   a) turystski górskiej i wspinaczkowej,
   b) turystyki wodnej,
   c) turystyki lądowej, krajoznawczej itp.

   Należy nadesłać opis tylko jednego wyczynu wyszczególnionego pod a), b), lub c). Opis winien być jaknajbardziej prosty i, o ile możliwe, udowodniony (świadkami, fotografiami itp.).

B) Opis wakacyjnej pracy społecznej. Ocena uwzględniać będzie przede wszystkim samodzielność i pionierskość prac. Opis nie powinien przekraczać 120 wierszy.

U w a g a: Specjalnie punktowane będzie połączenie wyczynu turystycznego z pracą społeczną

DZIAŁ 3-ci — LITERACKI

Nadesłać opis ciekawego zdarzenia, związanego z wakacjami z dowolnego środowiska. Opis może być nowelą, opowiadaniem, wierszem lub utworem scenicznym. Utwór ten nie powinien zawierać więcej niż 250 wierszy.

Wszystkie warunki WIELKIEGO KONKURSU WAKACYJNEGO „MŁODEGO NURTU" winny być spełnione Niewykonanie warunków powoduje wyłączenie danej pracy z konkursu.

Spis nagród i skład Komisji Konkursowej w następnym numerze.

MŁODY NURT

PISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

Nr 1 (4) 15 WRZEŚNIA 1938 ROKU ROK II

U PROGU NOWEGO ROKU...

Zegar wydzwania ósmą..., godzinę tę samą, co przed rokiem, gdy kierowaliśmy pierwsze swe kroki do szkoły. Dzień, godzina te same, starsze tylko o jeden rok.

W szarych bezbarwnych dniach całorocznej pracy szkolnej jednego często nie zauważamy, jednego nie odczuwamy całą głębią swego znaczenia. Oto, że nie tylko czas, ale i my o rok jesteśmy starsi.

A tu kryje się treść tajemniczego „ale"... O nim chcemy mówić, chcemy uświadomić sobie wzajemnie, że nie jest rzeczą obojętną jak wypełnimy czas dziesięciu miesięcy.

Pamiętajmy wszakżesz, że brak wnikliwej oceny siebie, swej roli na przestrzeni pewnego czasu, — stworzyło prawdziwą, a jakże smutną bajkę o starcu, który na nowo chciał zacząć żyć, ale żyć już właściwie. Nad grobem dopiero przyszła świadomość, że niczego nie zrobił ni dla siebie, ni dla ludzi. Jak kiepski rzemieślnik - odtwórca kuł żelazo zimne czy gorące... wszystko jedno.

Czas drwił i zastawał go starcem. Bajka to częsta, codzienna, ta sama. Zręczny złodziej — czas i nas nierzadko zastaje z siwą głową, godzi w nas strasznym: za późno!

Obserwujmy siebie, popatrzmy ile w tym prawdy — postanawiamy często np. doskonalić się w jakimś przedmiocie, uczyć się obcych języków, pogłębiać wiedzę w danym zakresie... ale codziennie wydaje się, że to jeszcze nie pora. I tak stajemy z niczym u końca roku. A lata są podobne do siebie...

Teraz na ławie szkolnej mamy jeszcze czas wydać wojnę niecnym zamiarom tajemniczych potęg.

Lekarstwem na pokonanie nieuchwytnego przeciwnika - „złodzieja" jest: chęć, wola, praca. Brzmienie tych słów kryje wielką treść — wmyślmy się w ich znaczenie.

Nieustanna, wzmożona praca i upór w dążeniu do celu winny i muszą być znamionami naszych dusz, jeżeli nie chcemy przeżyć tragedii owego starca z bajki.

Chcieć to móc! Projekt, zamiar, musi być czynem, dziełem!

Tylko chcieć, albo zacząć i nie skończyć, — winno w naszych oczach okryć się hańbą nieróbstwa.

Nasz zespół klasowy nie ma być miejscem odosobnienia, zbiorem ludzi nieczułych na ludzką nędzę, na to, że Polsce trzeba silnych ludzi i potężnej armii, że ojcowie nasi i starsze rodzeństwo przeżywają wraz z całym narodem chwile niezmąconej radości, czy kiedy indziej upadku...

Ludzi mocnych nie zmoże chytry złodziej — czas. I dziś u progu nowego roku mamy uświadomić sobie tę prawdę, złożyć ślub, że każda chwila naszego życia będzie wypełniona treścią pracy.

Tak rozumiejąc życie na ławie szkolnej, zrzeszamy w „Młodym Nurcie" tych wszystkich dobrej woli, dla których przyszłe życie nie ma być beztreściwe, którzy szukają, myślą... próbują wyjścia z impasu.

Jako całość, całą młodzież szkolną interesuje nas wszysko, co kształci rozum, wolę i serce, co wychowuje, rozjaśnia horyzonty.

Na Was Koleżanki i Koledzy czekamy, byście wnieśli nowe prawdy szkoły i... Polski. Fale „Młodego Nurtu" zacieśnią węzły, wzmogą siłę i powiodą hen ku nowej przyszłości.

Z pełnym zrozumieniem płyńmy więc z nurtem Polski, Tej, która oczekuje nas silnych i mocnych. Ona szuka nas na ławie szkolnej, nie bądźmy głusi na jej wezwanie.

TWORZYMY SAMORZĄD

Jarzębiny już są czerwone, wobec czego nie ma co owijać w bawełnę, że wakacje się kończą.

Trudno! Już taki jest porządek rzeczy, po lipcu i sierpniu następuje wrzesień. Musi być rok szkolny, ażeby mogły być wakacje.

Czy zresztą szkoła jest taka straszna? Chyba nie. Zwłaszcza pierwsze dnie, kiedy jeszcze nie grozi żadna klasówka z matematyki i na przerwach zamiast powtarzać słówka łacińskie, można spokojnie opowiadać o letnich przygodach morsko - górskich.

Nie chcę przez to powiedzieć, że początek roku ma być dalszym ciągiem wakacyjnego leniuchowania. Od pierwszego bowiem dnia roboty znajdzie się dużo, ale takiej roboty, którą napewno wszyscy lubicie. Szkoła nie jest tylko po to, ażeby nauczyć pewnej określonej liczby mniej lub więcej interesujących przedmiotów.

Szkoła uczy nas żyć, a temu kto żyć nie umie nie pomogą najbardziej zawiłe równania, ani stożek wpisany w kulę. To też od życia trzeba zacząć. Pamiętajcie wejść w progi naszych klas niosąc radość w sercach i duży zespół energii mający starczyć na całe 10 miesięcy zdobywania wiedzy. Niczego nie należy zaczynać ze smutną miną. Nie zostawiajcie „radości życia" na wakacjach. Zabierzcie ją ze sobą do szkoły i niech siedzi w pierwszej ławce, jako stała towarzyszka doli i niedoli.

Napewno wszyscy z Was chcieliby widzieć swoją szkołę wzorem dla innych. Nic łatwiejszego jak dołożyć do tego własnych starań. Przecież szkoła to Wy, to Wasz drugi dom, o który powinniście się starać i dbać. Ażeby jednak praca od początku szła dobrze i sprężyście, musicie się zorganizować, bo bez tego ani rusz. Nawet przy najlepszych chęciach, gdy każdy zechce rządzić na swoją rękę, powstanie chaos przypominający czasy Saskie.

Podstawową jednostką utrzymującą w ryzach stosunki szkolne jest, jak dobrze wiecie, samorząd klasowy.. Od tego więc trzeba zacząć, ażeby reszta poszła sprawnie i gładko. Samorząd nie może być fikcją, ani smutną koniecznością: — „taki jest w szkole zwyczaj". Nie bądźcie leniuchami, niech wszyscy biorą czynny udział w życiu klasy, a klasa jak jeden mąż w życiu szkoły. Wtedy jestem pewna, że zamierzone plany dojdą do skutku.

Pamiętajcie nie ma nic gorszego jak nie skończenie raz zaczętej roboty. Nie zwalajcie całej odpowiedzialności na barki prezesa. Nie utrudniajcie pracy sekretarzowi przez niepotrzebne kłótnie i dyskusje podczas tygodniowych zebrań. I proszę nie zatruwajcie życia skarbnikowi przez niepunktualne płacenie składek.

Na pierwszym posiedzeniu powinniście sobie przygotować plan pracy na cały rok, mając na widoku jakiś główny cel, do którego należy konsekwentnie dążyć. Nie chciejcie robić za dużo, z raczej myśleć o tym, ażeby to co robicie było solidnie wykonane. Pilnujcie samych siebie i słuchajcie samych siebie, a nie będziecie narażeni na nieustanne uwagi przełożonych. Niech samorząd zaprowadzi w klasie karność, ład i porządek. Dbajcie o zewnętrzny wygląd sali szkolnej i waszych mundurów. Wyznaczcie sobie dyżurnych do pilnowania tarcz na rękawach i znaczków na czapkach czy beretach. Bądźcie punktualni, prawdomówni i koleżeńscy w myśl zasady jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

Ale samorząd nie może zasklepiać się w obrębie własnej klasy, jego siła powinna emanować na zewnątrz. Samorząd musi być mocną jednostką, z którą liczą się inni i która innym może dać coś ze siebie.

Nie zamykajmy się w czterech ścianach. Niech nas interesuje cały szeroki świat, jego dole i niedole. Pamiętajcie o Polakach za granicą, o biednych szkółkach kresowych o nieszczęśliwych, chorych i bezrobotnych.

— — — — — — — — — — —

W naszej szkole przed dwoma laty z inicjatywy Dyrekcji powstał poza samorządami klasowymi jeszcze Samorząd Ogólny. A jak się to stało, opowiem.

Otóż prezeski wszystkich samorządów klasowych i organizacji szkolnych zebrały się pewnego dnia na narodę, czego rezultatem jest właśnie nasz Samorząd Ogólny. Jest to zasadniczo najwyższa władza samorządowa w Gimnazjum i Liceum, do którego uczęszczamy. Wyobraźcie sobie, że nawet profesorowie liczą się z nią. Najlepszym dowodem jest to, że odkąd Samorząd Ogólny pilnuje „dni sportowych" nikt nie odważy się zapytać, ani badać choćby był najbardziej zapalonym pedagogiem. Główna prezeska trzyma całą szkołę w ryzach i dobrze nam z tym bardzo.

Zarząd Samorządu ogólnego zostaje wybierany na początku roku i jemu podlegają samorządy klasowe i samopomoc szkolna. Inne organizacje jak Sodalicja, Harcerstwo i P. W. mają tylko obowiązek zdawać sprawozdanie ze swych czynności. Samorząd Ogólny zarządza pieniądzmi, które wpłacają samorządy do wspólnej kasy, udziela subwencji dla samopomocy, pilnuje porządku na terenie szkoły, urządza imprezy, pomaga w organizowaniu uroczystości i jednym słowem: jest na każde zawołanie.

I wiecie jeszcze co?

Samorząd Ogólny urządza raz na miesiąc „Dzień Społeczny". Taki dzień jest wolny od nauki, pomyślcie co za rozkosz!

Mimo to jednak roboty jest niemało a zaraz Wam powiem jakiej:

W tym dniu odbywają się posiedzenia wszystkich samorządów klasowych i organizacji. Zbiórki Sodalicji, P.W. i Harcerstwa. Następnie zdajemy sprawę Prezesce Samorządu Ogólnego z działalności całego miesiąca, przedstawiamy plany na przyszłość, ustalamy kolendarz imprez, świetlic, wycieczek tak, ażeby jedno z drugim nie kolidowało. Samorząd Ogólny z kolei ogłasza konkursy, wyznacza pewne prace, udziela pochwał i nagan w miarę potrzeby. Oczywiście wszystko jest skrupulatnie protokółowane, tak że potem od niczego wykręcić się sianem nie można. Raz przyjęty na siebie obowiązek trzeba za wszelką cenę wykonać. Bo tylko pomyślcie jak to wygląda. Za miesiąc następne posiedzenie, czytają protokół i okazuje się, że klasa X nie zebrała należytej ilości kaszy na pomoc zimową.

Strasznie głupia sytuacja. Prezeska nieszczęsnej klasy coś niby tłumaczy, że kasza była, tylko się po drodze wysypała. Nie przeszkadza to jednak temu, że się ma potem punkty karne i jeszcze do tego wstyd.

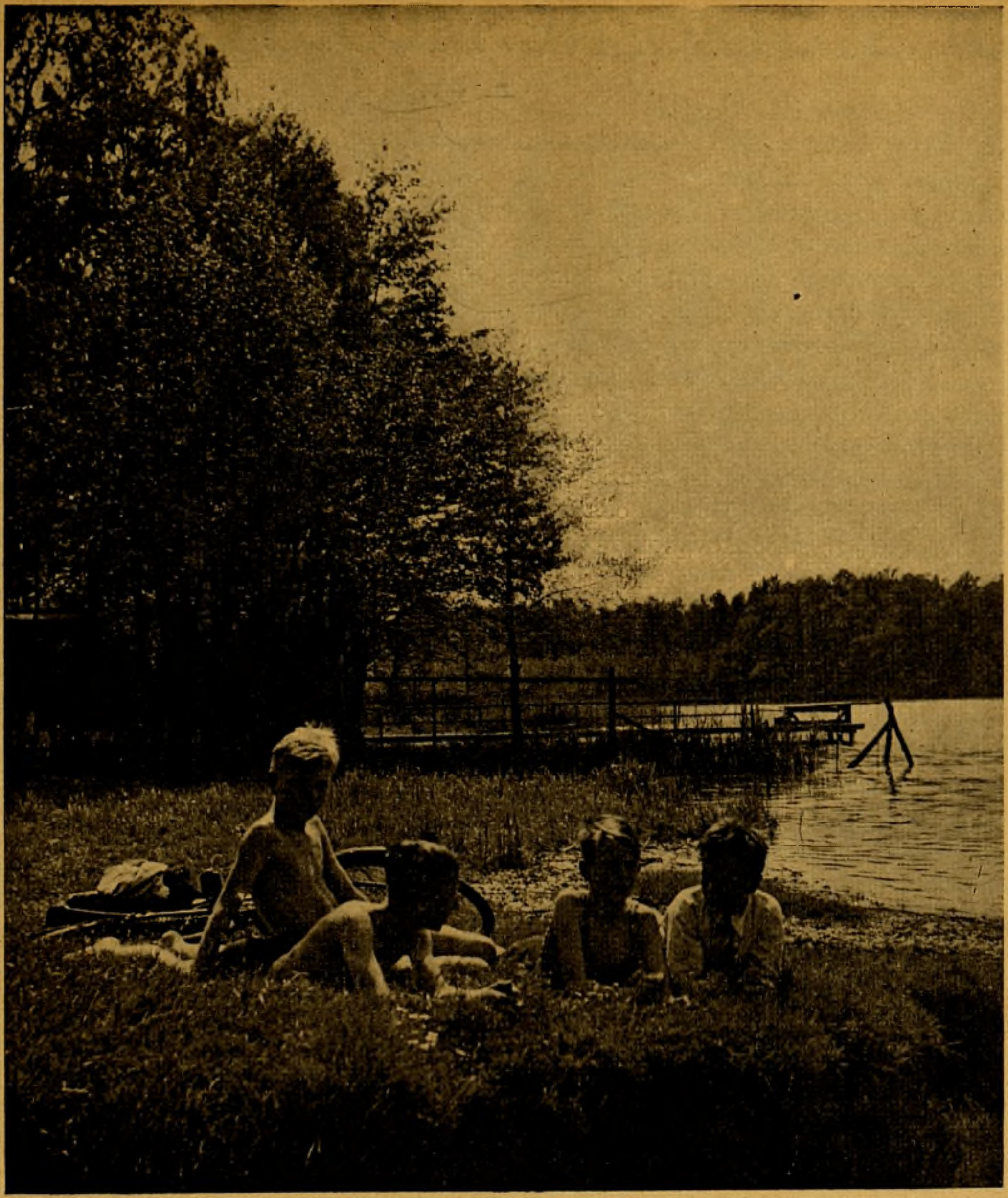
Nauczona smutnym doświadczenie, nie radzę Wam nigdy zapominać o kaszy dla bezrobotnych, ani o malowaniu afiszy. Pamiętajcie też o czysto oprawionym dzienniku lekcyjnym, bo niech tak niechcący wpadnie komisja porządkowa, to co wtedy?

Około godziny 12-ej kończy się część oficjalna. Wtedy hufiec licealny pakuje do plecaków książki z naszej wędrownej biblioteczki i rozsyła sztafety do szkół powszechnych okolicznych wsi. W zimie chodzimy na nartach w lecie piechotą, a na drugi dzień wracamy do nauki z pełnym zadowoleniem dobrze spędzonego „dnia społecznego".

Kończąc życzę Wam, ażeby wszystkie Samorządy szkolne stanęły na wysokości swego zadania.

Miejcie zawsze słońce w sercach i niech Wam przyświeca idea „wyścigu pracy" Wielkiego Marszałka.

Zakopane **B. S.**



Wakacje...

C Z A S

Z opalenizną słoneczną niesiemy naszą młodość:
Witaj nam lniana, polska na polach kołysana urodo!

Jeszcze słońce wyśpiewuje piosenkę świerszczom przydrożnym,
a tu już jesień w listowie do ogrodu zagląda ostrożny

a tu już szkoła z odmalowanymi oknami,
jak chorągiew trzepoce, — jak sztandar powiewa nad nami.

Wyjdź przed sień z ciepłymi dłońmi nasza pani:
idziemy znowu jakby dzwonkiem z wieżyczki przydzwonieni, wołani!

Wyszedł przed szkołę zdziwiony tercjan —
„całuje rączki" w piórniku niesie mała Walercia.

Pięć minut przed ósmą — dzwonić nie dzwonić?
nowy czas, najserdeczniejszy oddzwonić, przedzwonić...

Józef Andrzej Frasik

USŁUGI SPOŁECZNE MŁODYCH LEKARZY

Nowa ustawa o wykonywaniu praktyki lekarskiej nakłada na lekarzy, kończących studia po dniu 1.IV. 1939 r., obowiązek pracy na wsi lub w miastach, liczących poniżej 5 tys. mieszkańców, pozostawiając jednak możliwość zastąpienia go pięcioletnią pracą w zakładach naukowych, klinikach lub szpitalach, jednak wyłącznie na ten cel wyznaczonych przez Ministerstwo Opieki Społecznej. Ustawa ta rozwiązuje w najprostszy sposób sprawę, wobec której zbyt długo staliśmy bezradnie, mimo, że nie podlegała dyskusji oddawna uznana konieczność zapewnienia wsi pomocy lekarskiej. Niewielu mieszkańców wielkich miast, gdzie niemal w każdym domu można w razie potrzeby odszukać lekarza, zdaje sobie sprawę ze stosunków, jakie panują na wsi i w małych miasteczkach.

Stan higieny we wsiach i miasteczkach, niektórych okolic, tam, gdzie nie dociera pomoc lekarska, jest jeszcze dziś nawet prawie zupełnie niezadawalający. Liczne rodziny, zamieszkujące małe, rzadko wietrzone i nie zawsze czyste izby, nieuświadomione o prostych zasadach higieny, nie dbają zupełnie o kulturę swego ciała, ani o warunki mieszkaniowe. Te problemy albo nie znajdują całkowitego uwzględnienia, albo co najmniej są na przedostatnim planie. Jedzenie z wspólnego garnka, na którego umycie nie starcza wody lub czasu, (bo pilniejsze wydają się tysiące innych rzeczy), — i to często rękami, których nie zdążyło się obmyć, — to objaw nierzadki. Dziwny lęk i obawa przed wodą w okresie zimowym, kiedy nie można korzystać z zamarzniętych stawów i rzek, usprawiedliwiają częsty brak schludności rodzin i dzieci w szkole, które spotykając się z innymi, są rozsadnikami zarazków. Stan ten powoduje nieświadomość o wielkim znaczeniu higieny w życiu człowieka.

A w dotychczasowych warunkach nieleczone właściwie i nieizolowane choroby zakaźne, szerzą się, zabierając coraz więcej ofiar.

Sprawa pomocy lekarskiej niedomaga w tym samym stopniu jak i profilaktyka. Niestety bowiem, nie ma bardziej spopularyzowanej nauki niż medycyna. — Każdy czuje się powołanym do udzielania porad, w najgłębszym przekonaniu o idealnej skuteczności swojej terapii; a przy tym na wsi istnieją osoby specjalnie w tym kierunku uprzywilejowane: są jeszcze „kumosie", dla których nie ma tajemnic choroby, „raritasy" — znachorzy, felczerzy z pobliskiego miasteczka i wreszcie aptekarze. Wszyscy leczą na swój sposób: tę samą chorobę środkami wręcz



o odmiennych skutkach. Niedomagający pacjent, ponieważ chodzi o stawkę wielką: o zdrowie i życie, słucha skwapliwie rad wszystkich „dobroczyńców".

Do lekarza oddalonego o kilkadziesiąt, a często i więcej kilometrów, przywozi się chorych w tym stanie, że często nic już im pomóc nie można.

Absurd tej sytuacji jest oczywisty — lekarze skupieni w dużych miastach, często żyją w ciężkich warunkach materialnych, a jednocześnie ludność pewnych części kraju pozbawiona jest jakiejkolwiek pomocy lekarskiej, pozostawiona na pastwę domorosłych lekarzy i grasujących przesądów, jakby o lata całe spóźniona postępem.

To też przybycie na wieś młodych, pełnych zapału i energii lekarzy ma w tych warunkach ogromne znaczenie. Przypada im w udziale piękna praca niesienia pomocy lekarskiej choremu; praca w skutkach nie mniej może wydatna, niż podjęty wielki trud: wyniszczenia najgłębiej tkwiących przesądów, walka o uświadomienie, o postęp. Rola ich nie powinna — i nie może ograniczyć się jedynie do zawodowych kwestii— napływ wykształconego elementu wzniesie na pewien poziom i inne strony kulturalnego i społecznego życia wsi. I dla samych lekarzy nie bez znaczenia będą te dwa lata praktyki na wsi, spędzone w bezpośrednim kontakcie z ludem; one dadzą sposobność do zapoznania się z warunkami życia i potrzebami wsi, stworzą lekarzom możliwości, aby nawet po przeniesieniu się do większych miast i zajęciu kierowniczych stanowisk, mogli ze znajomością rzeczy decydować o pewnych sprawach dotyczących zdrowia publicznego. Możemy być pewni, że na dystansie lat skumulowana codzienna, wytrwała, choć nierzadko ciężka praca młodych sił lekarskich stworzy podwaliny zdrowego, silnego społeczeństwa.

Czy więc, mimo pewnych niedogodności dla odbywających długie studia lekarzy, ich usługi przyniosą korzyści życiu publicznemu i państwowemu, osądźmy sami. Potrzeby bowiem wsi znamy, albo jako ich mieszkańcy, albo jako turyści i letnicy. — Wsią polską, jej życiem sielskim, cichym i spokojnym nie wystarczy się zachwycać na odległość — trzeba poznać jej tajniki, niedomagania i potrzeby — trzeba dźwignąć jej stan kulturalny, uświadomić społecznie i podnieść stan życia i wymagań na wyższy poziom. Polak nie może wstydzić się mówić z cudzoziemcem o swoim kraju, o wsi polskiej.

I czy wystarczą do tak długiej i żmudnej pracy same ręce młodych lekarzy? — Wysiłek ich, bez pomocy całego społeczeństwa, wszystkich nas, którzy zdobywamy tajniki wiedzy, nie powinien zadowolić dobrego obywatela państwa polskiego.

Szukajmy więc dróg; być może i inne zawody pozwoliłyby na eksploatację ludzi na wieś.

zwiedzamy DWR
Doroczną Wystawę Radiową

Ostatnią sensacją Warszawy jest Doroczna Wystawa Radiowa. Zapowiadana już od dawna, zareklamowana wielkimi, kolorowymi afiszami, intrygowała i tych, co naprawdę głębiej interesują się radiem i tych, którzy znają je tylko „ze słyszenia". Poszedłem i ja na otwarcie wystawy. Ścisk był i owszem, niezły, lecz tylko dzięki niemu przemknąłem się cało i zdrowo przez linię pań przypinających jakieś znaczki, no i naturalnie pobierających za to opłatę.

W hallu Polskiej YMCA (tam bowiem mieści się wystawa) wita mnie głos dobrej znajomej „Zegarynki". Wita nieco oryginalnie, gdyż krótkim i treściwym: „szósta — osiem". Co minutę odzywa się ta mechaniczna panienka, oszczędzając zwiedzającym trudu patrzenia na zegarek.

Tutaj obok zamontowany jest mikrofon i głośnik. Wystarczy przycisnąć guzik i zapytać np. gdzie się kupuje bilety, by po chwili usłyszeć przez głośnik treściwą odpowiedź, udzieloną przez informatora Wystawy. — Stosując się do podanych mi przed chwilą wskazówek zawędrowałem do Kasy, a następnie do sali przemysłu radiowego. Zgrupowane tu są stoiska firm produkujących odbiorniki, lampy, radia - gramofony oraz części i akcesoria radiowe. Aby więc dobrać sobie aparat, odpowiadający naszym wymaganiom i finansom, nie trzeba chodzić od sklepu do sklepu. Przedstawiciele fabryk udzielają wszelkich informacyj, oraz demonstrują odrazu oglądane aparaty. Z nowości zwracają uwagę odbiorniki ze skalą geograficzną w postaci mapy Europy, na której zapala się światło akurat tam, dzie znajduje się odbierana rozgłośnia. Poza tym wiele aparatów posiada „magiczne oko", na którym ukazują się ciemne kreski w wypadku, gdy niedokładnie dostroiliśmy odbiornik na słuchaną stację.

Zupełnie u nas nieznaną jest klawiatura, złożona z ośmiu guziczków wmontowana w radio - aparat. Kupując wybiera się osiem najczęściej słuchanych rozgłośni, a technik firmy łączy odpowiednio klawisze ze specjalnym motorkiem tak, że wystarczy nacisnąć guzik, by po chwili słuchać żądanej stacji. Usuwa to konieczność wyszukiwania jej na skali, motorek nastawia sam, i potrzeba tylko niewielkiego doregulowania, zależnego od warunków atmosferycznych, czy lokalnych.

Opuśćmy jednak stoiska fabryczne i zajmijmy się eksponatami związanymi ściśle z Polskim Radiem. Znajdują się one w drugiej sali, na której środku pali się rurkami neonów wielka mapa Polski. Modele masztów antenowych poszczególnych rozgłośni, a obok nich laleczki w strojach danego rejonu, uplastyczniają tę radio - mapę. Kręgi barwnych neonów znaczą zasięg detektorowy każdej ze stacyj. Niewiadomo tylko dlaczego brak popularnej i lubianej Warszawy II.

Na ścianach sali zawieszono plansze obrazowo przedstawiające statystyki radiowego Biura Studiów. I tu trafił się jeden lapsus, mianowicie na tablicy procentowego podziału audycji, obok napisu „Audycje słowno - literackie" — figuruje woda. Tak jest! Syfon, szklaneczka i jakaś książka. Nie będziemy się sprzeczać, ani dyskutować z autorem tego dość niefortunnego rysunku i... pójdziemy dalej.

— Jesteśmy obecnie na galerii nad salą. Tu rzucają się w oczy wielkie fotografie zwieszające się spod sufitu. Są to portrety popularnych artystów. Między nimi śliczny, olbrzymi obrazek - fotografia rodzina przy radio - aparacie. Wymiary możnaby zaokrąglić do „grubych" metrów.

Idąc galerią biegnącą wokoło sali Polskiego Radia zapoznajemy się z zasadami elektrotechniki. Od bursztynu, lasek z ebonitu i szkła przechodzimy powoli, aż do maszyny elektrycznej. Przejrzysty montaż eksponatów i ich pomysłowe zorganizowanie, począwszy od elementarnych— najprostszych, aż do skomplikowanych, pozwalają każdemu na zrozumienie podstawowych zjawisk elektrycznych, bez których nie moglibyśmy zorientować się w następnym dziale. Dalszym bowiem krokiem w głąb tajemnic radio - techniki są modele detektorów i aparatów lampowych. Kolejno przesuwają się różne typy odbiorników. Następny dział — to historia rozwoju lampy radiowej odbiorczej i nadawczej, biorącej swój początek w żarówce Edisona. Tuż obok maleńka radiostacja krótkofalowa o mocy 9 W. (1,5 w. w antenie), pracująca na fali 12 m. Nadaje ona uwagi dla publiczności, która, nie stosując się do wskazówek organizatorów, tworzy na galerii zatory.

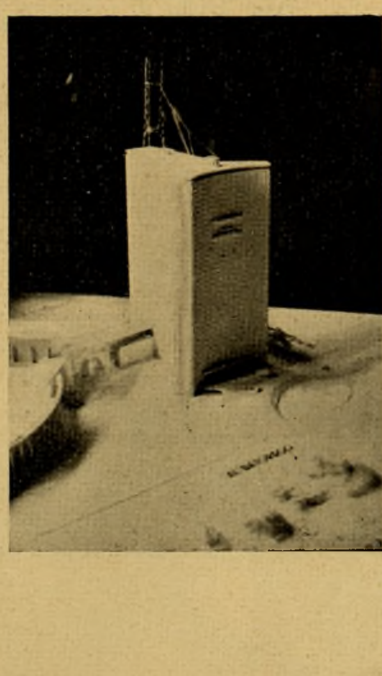
Posuwamy się we właściwym kierunku, i mijamy szereg lamp nadawczych począwszy od małych, kilkowatowych, aż do 50-cio kilowatowych olbrzymów. Zatrzymujemy się chwilę przy aparaturze foto - celowej, gdzie selenowa komórka, połączona z żarówką, gasi tę ostatnią pod wpływem promieni rzuconych z latarki kieszonkowej. W dalszym ciągu widzimy ewolucję kondensatorów i cewek, przyczym obok grubej 300-to zwojowej szpuli sprzed paru lat leży, niewiele większa od naparstka ceweczka z żelaznym rdzeniem. Ma też 300 zwojów mimo, że jest dobre 20 razy mniejsza.

Na zakończenie działu dydaktycznego pokazano 5-cio lampowy odbiornik Hardy'ego z roku 1923. Jest to ogromnie skomplikowana maszyneria tysiąca splątanych drutów, wtyczek i gałek z podobnym do gramofonawej tuby głośnikiem. Wprost nie chce się wierzyć, że elegancka super - heterodyna zamknięta w jednym politurowanym pudle — to młodsza o 15-cie lat siostra tego narzędzia tortur, które podziwialiśmy przed chwilą.

Przechodząc do galerii nad drugą salą oglądamy jeszcze, jasno opracowane, tablice objaśniające widmo drgań elektro - magnetycznych i zasięg fal radiowych zależnie od pory dnia i roku.

Na drugiej, znacznie mniejszej galerii urzęduje informator, o którym wspominałem już na początku, ze słuchawkami na uszach i mikrofonem w ręku czeka na zapytania zwiedzających. Pomocnik jego puszcza w między - czasie płyty, które słychać przez rozrzucone po całym gmachu głośniki.

Stoisko obok należy do Polskich Linii Lotniczych „Lot" i zawiera eksponaty związane z wykorzystaniem radia w lotnictwie. Niestety, brak objaśniającego nie pozwala zwiedzającym „połapać" się w zastosowaniu poszczególnych oparatur. Zato sąsiad „Lotu" — Instutut P.A.T'a ma nadzwyczaj miłą obsługę. Każdy z wystawionych aparatów filmowych, a są to proktory dźwiękowe ma wąską taśmę 16 mm. jest szczegółowo demonstrowany.



P.A.T. rozpoczął przed dwoma laty akcję zkinematyzowania szkół, podejmując się dostarczyć, na dogodnych warunkach, aparatów oraz filmów.

Sam zacząłem żałować, że pośpieszyłem się z ukończeniem szkoły, miałbym bowiem możność oglądania (darmo i w czasie lekcyj) interesujących dźwiękowców. — Uczenie za pomocą filmu nepewno ułatwi zrozumienie wielu rzeczy, trudnych do pojęcia, gdy się je czyta w książkach. Będzie to nauka i rozrywka zarazem.

Osobnym działem D. W. R. jest sala modeli przyszłego gmachu Polskiego Radia w Warszawie. Misternie wykonane budynki, mieszczące się na normalnym stole, oraz wspa-

miałe ich fotografie dają publiczności trochę niecodziennych wrażeń. Widzimy bowiem dobrze znane ulice i domy, a wśród nich tysiąco - okienne drapacze chmur, o subtelnych, oryginalnych liniach. Na fotografiach ten świat z bajki wydaje się jeszcze bardziej piękniejszy, jeszcze delikatniejszy w swej smykłej strzelistości.



Dział telekomunikacyjny grupuje sporo osób, gdyż zawiera nieczęsto spotykane urządzenia. A więc „Zegarynka" nowej, czysto polskiej (w telefonach jest szwedzkiej) konstrukcji, notabene bardzo prostej i zrozumiałej. Działa ona podobnie do kina dźwiękowego, gdzie pomiędzy foto-celą i żarówką przesuwa się nagrana taśma. Dalej dalekopis, czyli dwie drutami połączone maszyny do pisania. Gdy przyciskamy na jednej z nich klawisz, druga w tej samej chwili odbija na taśmie tą samą literę. Wreszcie automatyczny nadajnik i odbiornik, służący do maszynowej telegrafii alfabetem Morse'a. Na ścianie schemat przekazywania fotografii drogą foto - telegraficzną. Jeśli dodać, że każde urządzenie jest prosto i dokładnie objaśnione przez zachrypniętych, lecz niezmordowanych instruktorów — otrzymany wtedy obraz oddziału wystawowego „Polskiej Poczty i Telegrafu".



Nie spisał się tylko departament walki z zakłóceniami odbioru radiowego. Skomplikowane aparaty, brak objaśnień i, co ciekawsze, krótkich, niezbyt dobre dają świadectwo pracy anty - zakłóceniowej.

Zato stoisko Polskiego Związku krótkofalowców wynagradza w zupełności to niemiłe poprzednie wrażenie.

Kilku „krótko- falarzy" amatorów kręci się, jak muchy w ukropie, byle tylko nikt nie odszedł nie otrzymawszy szczegółowej odpowiedzi na swe zapytanie. Równocześnie jednak trzeba obsługiwać potężny, bo 300 watowy nadajnik SP I ZK. Muzyka z płyt przeplatana rozmowami ze stacjami polskimi, połączenia z amatorami z zagranicy — oto pobieżny obraz pracy panów z P.Z.K. Każdego witają miłym uśmiechem, wskazują, objaśniają dziesiątki wystawionych aparatów i choć spoceni i mokszy do nitki, tym samym bardzo miłym uśmiechem, żegnają nawet najgorszych nudziarzy. Specjalna gablotka z kartami OSL dowodami uzyskanych połączeń) wykazuje, że fale krótkie docierają wszędzie, doU.S.A., Australii, Japonii... no... wogóle do najdalszych zakątków ziemi.

Mniej więcej to samo, co u miłych panów z P.Z.K. widzimy i w dziale wojskowym, z tą różnicą, że cel pracy jest inny. Na stoisku Kolejowym P. W. jest czynna stacja SP 1. RZ o mocy 40 w. — Zwiedzamy jeszcze pokój wynalazków i ulepszeń, w którym sensacje budzą odbiorniki detektorowe w lasce, fugurce i latarcie kieszonkowej, detektor do obioru fal krótkich.



Ostatnia sala wystawy poświęcona jest mikrofonowi u trzech największych Polaków doby dzisiejszej.

Widzimy tu portrety Wielkiego Marszałka, Prezydenta Mościckiego i marszałka Śmigłego - Rydza. Zaciśnięte, w żywej gestykulacji pięści, podniesiona głowa i zwarta tężyzna postaci — nie pozwalają nam zapomnieć, że nad bezpieczeństwem naszych granic czuwa bezustannie żołnierz — Wódz Naczelny!

Wacław Podhorski - Okołów

LOTNICTWO — NOWA BROŃ XX WIEKU

Co jakiś czas, w krótkich odstępach słyszy się i czyta o nowych postępach w rozwoju lotnictwa. Osiągane rekordy ustępują szybko następnym. Nie ma państwa, które nie starałoby się zdobyć dla swego użytku i wykorzystać wyników studiów i prób, dokonanych w tej dziedzinie, gdziekolwiek na kuli ziemskiej.

Zastanówmy się nad tym dlaczego tak ważnym zagadnieniem jest posiadanie przez państwo dobrze rozwiniętego lotnictwa.

Wiek dwudziesty, wiek tryumfów techniki, pozwala człowiekowi na skierowanie swych zainteresowań w nowym kierunku. Technika daje człowiekowi skrzydła. — Jasnym jest jaki wprowadza to przewrót w dotychczasowe pojęcia. Wszak powietrze znajduje się nad lądami i morzami, a więc nad obszarami poszczególnych państw, ich liniami komunikacyjnymi i wszelkiego rodzaju urządzeniami. Powietrze jest tym nowym elementem, który należy wykorzysiać dla celów gospodarczych, a jeżeli tak to trzeba i w powietrzu ustalić swoją potęgę. I właśnie w związku z obecnym rozwojem lonictwa, narody zrozumiały, że chcąc utrzymać swoje zdobycze na lądzie czy morzu, trzeba je połączyć z nowymi zdobyczami w powierzu.

Przed wojną światową, w celach wojennych, po raz pierwszy samoloty były użyte przez Włochów w czasie wojny w Trypolisie. Jednak tak wtedy, jak i w początkach wojny światowej, wykorzystanie lotnictwa było bardzo słabe i jednostronne. Ustalił się pogląd, że lotnictwo może wykonywać tylko i to w skromnym zakresie zadania rozpoznawania sił nieprzyjacielskich, a więc zadania, które wykonywała zasadniczo kawaleria.

Prócz tego lotnictwo oddawać mogło nieocenione usługi dla nawiązania łączności z oddziałami w wypadku gdy wszelkie inne środki łączności jak np. telefon, sygnalizacja, gońcy, zawiodły. Był np. taki wypadek: Jeden pułk piechoty z pewnej dywizji został odcięty i otoczony przez nieprzyjaciela. Dowódca dywizji ma wiadomość od kawalerii, po-

twierdzoną przez lotnika, że na jednym kierunku, prowadzącym do tyłu, jest możliwość wyprowadzenia pułku z matni. Odsieczy posłać nie może, gdyż musi powstrzymać napór nieprzyjaciela na pozostałym froncie dywizji. Łączności z dowódcą odciętego pułku nie ma, druty telefoniczne zerwane, radia nie ma, gońcy nie dochodzą. Posyła wobec tego lotnika, daje mu odpowiedni rozkaz dla tego dowódcy pułku i każe mu pracować na jego korzyść. Lotnik zadanie wykonał — zrzucił rozkaz dowódcy pułku, po czym informując go bez ustanku o położeniu własnym i nieprzyjaciela, oraz o kierunku w którym należy iść, doprowadził szczęśliwie pułk do głównych sił dywizji.

W dalszym ciągu wojny światowej przekonano się, że lotnictwo, prócz wspomnianych zadań, może wykonywać jeszcze inne. Może pomóc wojsku lądowemu w wykonywanych przez nie zadaniach. A więc poczęto używać lotnictwa, zaopatrzywszy je w karabiny maszynowe, do ataków na maszerujące kolumny nieprzyjaciela, lub na jego oddziały wypoczywające na postojach. Przez zniszczenie na tyłach nieprzyjacielskich mostów czy węzłów kolejowych, można go było pozbawić dowozu żywności i amunicji. Następnie dowódcy wyżsi chcieli wiedzieć co się działo na głębszych tyłach nieprzyjaciela, czy gdzieś nie wyładowują się większe transporty wojsk, które zapowiadałyby ofensywę. Wszystko to wymagało rozbudowy lotnictwa, ulepszenia maszyn, by umożliwić im loty i zabranie ze sobą ładunku bomb.

W tych tak rozmaitych już pod koniec wojny światowej działaniach, było jednak lotnictwo tylko skromnym pomocnikiem innych broni i działać samodzielnie nie mogło. Nic też dziwnego, bo w stosunku do obecnego stanu było ono wtedy jeszcze właściwie w powijakach. Wystarczy porównać dzisiejsze metalowe silne i piękne samoloty z samolotami z czasów wojny, skonstruowanymi z drzewa drutu i płótna.

Jak dalece od czasów wojny światowej rozwinęło się lotnictwo, jak szalenie wzmogły się jego możliwości, świadczą takie cyfry: szybkość samolotów wzrosła ze 180 na przeszło 500 km na godzinę. Zasięg w głąb kraju nieprzyjacielskiego ze 100 na przeszło 800 km, pułap (tj. najwyższa wysokość na jaką samolot może się wznieść) z 5.000 m na 11.000 m. By się wspiąć na wysokość 4.000 m potrzebował samolot przed tym 20 minut czasu, dziś tylko 4 minuty.

Największe postępy porobiło lotnictwo w ostatnich 10-ciu latach, był to po prostu wyścig, którego natężenie wzrastało co raz bardziej do dzisiejszego dnia i który trwa.

Wymyślano najrozmaitsze rodzaje samolotów mających najrozmaitsze przeznaczenia, przewidując wymagania i zadania, jakie mogą im być postawione w przyszłej wojnie. I tak powstawały samoloty przeznaczone do bombardowania w dzień i noc. W związku z tym produkowano różne typy samolotów myśliwskich do tych działań, jedno lub dwumiejscowe, wyposażone w jeden lub więcej karabinów maszynowych, a nawet w urządzenia do wyrzucania lekkich bomb. Dalej aparaty myśliwskie pościgowe, bardzo szybkie, oraz myśliwskie mogące w najkrótszym czasie osiągnąć wysoki pułap i wiele innych. Później zapanowało przekonanie, że trzeba wybrać kilka kilka, a to dlatego, by ułatwić produkcję i wyszkolenie obsługi, przy czym każdy typ musiałby być tak uzupełniony, by mógł być użyty do różnych celów.

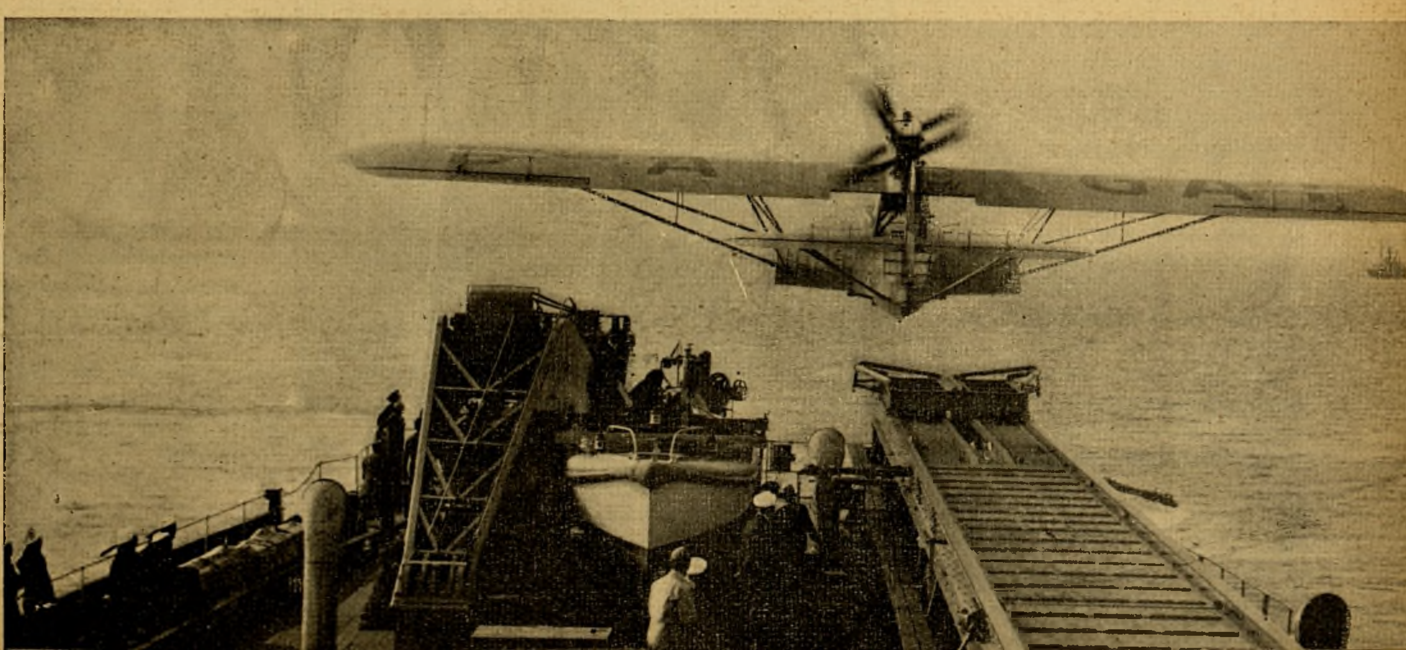
W rezultacie utrzymały się następujące typy samolotów:

1) samoloty bombowe; — zadaniem ich jest niszczenie centrów kierowniczych i zakładów przemysłowych w głębi kraju nieprzyjacielskiego oraz linii i węzłów komunikacyjnych, czyli innymi słowy mają zdezorganizować życie wewnątrz kraju i nie dopuścić transportów broni, amunicji, żywności i rezerw na front. Są to przeważnie samoloty o dużych rozmiarach, zaopatrzone w dwa lub więcej motorów i posiadające około 5-ciu ludzi załogi. Mogą one zebrać poważny ładunek bomb przeciętnie około 1.000 kg. Dla obrony własnej są wyposażone w kilka karabinów maszynowych (a najnowsze już często i w działko) tak rozmieszczonych, by samoloty myśliwskie nieprzyjaciela z żadnej strony nie mogły się do nich bezkarnie zbliżać. Muszą one być szybkie i mieć wysoki pułap, by móc uniknąć ognia nieprzyjacielskich środków obrony przeciwlotniczej.

2) Drugim typem samolotu jest samolot, który w różnych krajach rozmaicie się nazywa, a więc: bojowy, ciężki myśliwski, samolot dowodzenia itp. Najodpowiedniesza nazwa dla niego byłaby może ciężki myśliwski. Są to samoloty przeważnie dwumiejscowe i posiadające dużą siłę ogniową, bo około 4 karabiny maszynowe wzgl. przeważnie już w nowych typach 1—2 działka, prócz tego pewien ładunek bomb. Mogą one otrzymać za zadanie towarzyszyć samolotom bombowym i bronić ich przeciw nieprzyjacielowi powietrznemu, mogą atakować samoloty bombowe nieprzyjacielskie, mogą też zaatakować i ostrzelać wzgl. obrzucić bombami jakieś cele naziemne np. kolumny npla.

3) Samolot myśliwski jednomiejscowy jest typowym samolotem służącym do obrony przeciw atakom powietrznym npla. Musi się on odznaczać wielką szybkością lotu i szybkością wdrapywania się na wysoki pułap, a to dlatego, że zwykle znajduje się na lotnisku w pogotowiu i zaalarmowany wiadomością o zbliżeniu się lotników npla musi jak najszybciej znaleźć się na ich wysokości i zmusić do odwrotu jeszcze przed obiektem bronionym. Szybkość jego musi więc przewyższać szybkość bombowców. Walczy strzelając przez śmigło z karabinów maszynowych nieruchomo umocowanych w kadłubie. Karabinów tych ma dwa względnie cztery — dalsze dwa, na skrzydłach.

Start samolotu z katapulty okrętowej





Polska maszyna Challenge'owa RWD—9

4) Samoloty dalekiego rozpoznania (liniowe) służą do przeprowadzania rozpoznania na dalekich tyłach npla.

5) Samoloty bliskiego rozpoznania (towarzyszące) służą do rozpoznania pola walki, względnie terenu na odległość jednego dnia marszu od własnych oddziałów.

6) Samoloty szturmowe (typ podobny do ciężkiego myśliwskiego) służą do zwalczania ogniem k. m. i lekkimi bombami kolumn wojska i transportowanych na ziemi.

7) Samoloty transportowe służą do transportu materiału wojennego względnie ludzi w wypadkach wymagających szybkiego uzupełnienia strat lub tp.

8) Śrubowce (autożyra) służą jako obserwatoria do kierowania ogniem artylerii.

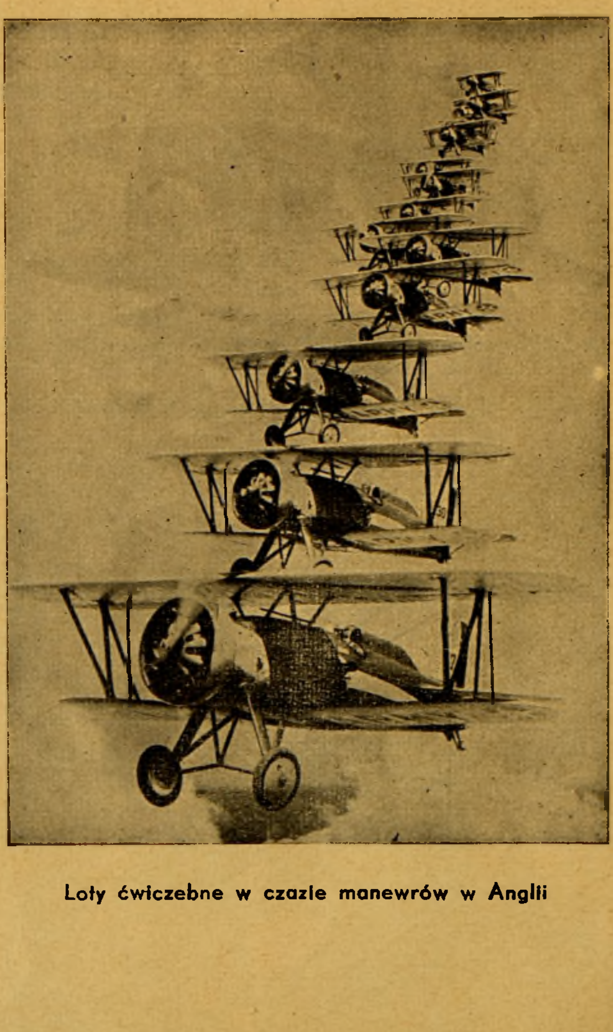
Obok postępów technicznych zmienił się również pod wpływem obrony przeciwlotniczej sposób działania samolotów. Nie można dziś bezkarnie krążyć nad celem naziemnym na małych wysokościach, a z wielkich trudno jest trafić i niewiele widać. Dlatego też samoloty nadlatują nad cel albo lotem kuszącym, tj. tak nisko, że nagle ukazują się zza lasu czy miejscowości, a ich szybki, niski lot nie pozwala do nich wycelować broni naziemnej, albo na wielkiej wysokości nadlatują nad cel i rzucają się w dół lotem nurkowym, po czym tuż nad ziemią wyrzuciwszy bomby wyrównują maszyny i uciekają.

Jeżeli idzie o walkę powietrzną, to nowe samoloty są wyposażone w działka dlatego, że z k. m. można w powietrzu strzelać na odległość 100 m, a 100 m przy szybkości 500 km na godz. robi się w czasie około 0,3 sek., czyli tylko 0,3 s. czasu na oddanie ognia. Z działka natomiast można celnie strzelać już na odległość 800 m, co daje około 3 sek czasu.

Tak przedstawiało się lotnictwo do dnia dzisiejszego. Co będzie jutro — pokaże przyszłość. W ostatnich czasach coraz silniej gruntują się teorie, że z lotnictwa należy uczynić broń samodzielną, która działając w wielkich jednostkach np. w jakichś dywizjach lotniczych, mogłaby wywrzeć decydujący wpływ na losy wojny.

Wszak lotnictwo i tak zmieniło dotychczasowe metody wojowania, zmuszając wojska naziemne i floty do liczenia się z napadami z powietrza. Poza tym wojska i floty i wszelkiego rodzaju fortyfikacje nie chronią ojczyzny przed lotnictwem nieprzyjaciela. Nie ma więcej ograniczonych terenów działań wojennych, gdyż całe lądy i morza mogą być nieograniczonym terenem działań lotnictwa. Urzeczywistnienie tych teorii jest jednak trudne, gdyż zależy od możliwości finansowych i przygotowania przemysłu danego kraju. Wyprodukowanie potrzebnej ilości samolotów, utrzymanie ich w stałym pogotowiu, uzupełnianie strat w czasie wojny i wytwarzanie bomb potrzebnych do prowadzenia takiej walki, przewyższa możliwość poszczególnych krajów. Niszczenie bombami kraju nieprzyjacielskiego może więc okazać nazbyt kosztowne. Obliczono np., że w celu zniszczenia Paryża trzeba rzucić nań około 2000—2500 ton bomb, czyli licząc przeciętnie 1 tonnę na bombowiec, trzeba wykonać nalot przynajmniej 3000 samolotów (przeciętnie licząc 30% strat od środków obrony przeciwlotniczej). Dalej licząc po 5 ludzi obsługi na samolot, trzeba na to mieć 15000 wyszkolonych lotników. A ile czasu i maszyn trzeba by mieć by zniszczyć cały kraj?

Nie mniej jednak należy pamiętać o tym, że lotnictwo może w krótkiej przyszłości stać się najważniejszą bronią i że **przyszłość jest tylko przed tym narodem, który będzie rozporządzał dzielnymi lotnikami doskonałymi samolotami**, słowem, który potrafi ugruntować swoją potęgę w powietrzu tak, jak ją gruntował na ziemi czy morzu. **M. P.**



Loty ćwiczebne w czasie manewrów w Anglii



PIOSENKA OBOZOWA

Prawie każdy, kto przyjeżdża do domu staje się plagą dla reszty domowników i przyjaciół, bo ciągle jeszcze śpiewa, a przynajmniej nuci obozowe piosenki. Są to czasem długie „solitery", których jedną wartością jest ich długość; czasem najważniejszą atrakcją jest nagłe wrzaśnięcie, które wprowadza w popłoch spokojnych nie obozowych ludzi. Tutaj prym dzierżą „Pafki" i „Kanarki". Idzie spokojnie taki człowiek, coś nuci pod nosem niegroźnie i nagle wrzask godny młodego krokodyla, a dalej znów spokojna piosenka, której jednak wystraszeni słuchacze już nie ufają. Tacy miłośnicy piosenki są jeszcze nie groźni, są inni, którzy zawsze i wszędzie bez względu na warunki śpiewają. Taki śpiewak uprawia już tylko „sztukę dla sztuki" Nie dba on o audytorium i może wpaść nawet pod samochód ze słowami:

„Upływa szybko życie
Jak potok płynie czas
Za rok,. za dzień, za chwilę
Razem nie będzie nas".



albo idzie po ulicy wpadając na ludzi i śpiewa zwycięsko:

„Jak dobrze nam zdobywać góry".

Podobny wpływ na ludzi domowych mają piosenki „egzotyczne". Tutaj największą popularnością cieszą się „Pawiany" i „Słoniątko" z całą swoją rodziną. Rytm tych dzikich piosenek tak porywa i oszałamia, że nawet najspokojniejsi ludzie puszczają się w pląsy, jako, że:

Wszyscy wyprawiamy hece
Gdy nas gryzie mucha tse-tse.

Piosenka jednak nie tylko tak wpływa na jej zwolenników. W niektórych wypadkach zacznie się pod jej wpływem budzić poeta i wtedy powstają takie dzieła:

„Księżyc przyświeca, jak wielka świeca"

albo:

„Ja chcę tylko mieć szczęścia trochę
But suchy, suchą pończochę
I spodnie suchutkie też".

Choroba układania piosenek kończy się zwykle razem z obozem.

Jest też cała grupa piosenek, które uwieczniają różne zdarzenia, przygody, a czasem „ciężkie roboty":

Czyść się patelenko
Czyść się i bądź biała
To się będę w tobie często przeglądała".

albo nastrojowy opis ciszy poobiedniej:

„Wał ciał na pryczy legł, na człeku
człek...i dalej już muza nie dopisała obozowej poetce.

Na każdym też obozie repertuar piosenek stale się powiększa, bo zawsze się znajdzie jakiś poeta, który w rymowany sposób opisuje:



„Na wrzasku się kończy
Na wrzasku zaczyna
Codzienna wieczorna
I ranna godzina"

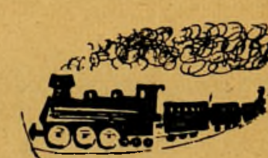
W ogóle domownicy to zupełnie inny naród, który różni się bardzo nawet od swoich najbliższych, których pojęcia o obozie tak się różnią od naszych. Trudno się więc dziwić takim radom i pytaniom:

„Czy restauracji
Nie ma gdzie w pobliżu
Przecież umrzesz z głodu
Na kaszy i ryżu".
Nie chodź do Dunajca,
Woda bystro płynie
Lepiej się już nie myć
Z tego nikt nie zginie.
Garnków też nie szoruj
Lepiej nawet wcale,
Zniszczysz sobie ręce —
Jak pójdziesz na bale?"



Można jednak powiedzieć, że wszystkich tych rad nie będzie się stosować na obozie:

„Ledwie pociąg ruszył
Na stacji tłum cały
Wszystkie dobre rady
W Warszawie zostały".



Teraz kiedy się obozy skończyły, jedyną pociechą wśród życia szkolnego są dla nas piosenki. I z rozczuleniem przypominamy sobie nawet deszcz obozowy.

„Wszystko by dobrze było
Gdyby nie deszczu szał
Ten tak jak na początku
W końcu obozu lał.
A skutek tego taki
Że wśród wodnistych róźg
Nie jeden się w obozie
Naderwał, zmiękczył mózg".



Widać ta zresztą z całego artykułu.

Barbara Rendzner

Autorki i Autorów piosenek przepraszam, że ich utwory cytuję bez pozwolenia, ale i tak są już one własnością ogółu.



MŁODZIAŻ

Hań sie wysoko niesiecie w górę
Orły Wy! ponad jastrzębie loty
w słońce. —
Hań sie zapolom ognie co dadzom
jasność lo ludzi,
ka ik prowadzić bedom gościńce.

Młodziaż Wy hale, z Wos wyrość
musi mądry lud i światu nieg sie
do znać
nie po to coby cepem zboże bić,
ba po to,
coby jak ono strawe ludziom dać.

Strawe co bez niom świat,
życie, wesele, radość i słonko,
zno!
Hej Orły Wy! po światło, ogień, rozum ślebode
nieg Wos
ponad jastrzębie loty wysoko gno!

Aniela Stapińska



Pociąg osobowy odchodzący z Poznania o godz. 22,35 w kierunku Warszawy był wypełniony jak zwykle. Szukając dla siebie miejsca w wagonie III klasy, natknąłem się na przedział zajęty przez kolegów, którzy na niebieskich tarczach mimo różnych numerów, mieli jeden wspólny szczegół — literę „H". Szczegół ten wydał mi się interesujący na tle dużego zżycia, jakie ujawniało się wśród pasażerów „napiętnowanych" emblematem, wskazującym na przynależność do „branży" handlowej.

Wdałem się w rozmowę.

Rezultatem jej są bardzo ciekawe, jak mi się wydaje, informacje.

Ministerstwo Przemysłu i Handlu w porozumieniu z Ministerstwem WR i OP dało inicjatywę do zorganizowania letnich praktyk wakacyjnych dla uczniów szkół i gimnazjów kupieckich.

Praktyki zostały przyznane najzdolniejszym uczniom wszystkich nieomal średnich zakładów handlowych, rozsianych po całej wschodniej Polsce. Zebrała się więc gromada 76-ciu kolegów reprezentujących połnocno i środkowo-wschodnie rubieże Rzeczypospolitej.

Za teren, mający dostarczyć praktycznej wiedzy handlowej przyszłym pionierom kupiectwa polskiego, wybrano Poznań. Wybór ten padł na gród Przemysława z dwóch, jak się nam wolno domyślać, przyczyn. W pierwszym rzędzie chodziło o wykorzystanie tych wartości, jakimi się cieszy kupiectwo poznańskie, o zapoznanie się z metodami organizacyjnymi, ze sposobem pracy kupców poznańskich; nadto chcieli organizatorzy dać możność młodym obywatelom z jednej połaci kraju poznać inną część Polski, jakże bardzo pod wielu względami odbiegającą od wschodnich ziem polskich.

— Wszyscyśmy zostali zakwaterowani, — opowiada jeden z moich towarzyszów podróży — w szkole powszechnej. „Jakiś" pan z Poznania był kierownikiem i opiekunem nas wszystkich. Podzieleni zostaliśmy na zastępy, które kolejno pełniły „służbę" nocną i porządkową. Rozkład zajęć ułożony był pod kątem widzenia naszej pracy praktykanckiej.

O godz. 8-ej stawaliśmy codziennie za ladą sklepową w najlepiej postawionych firmach detalicznych rozmaitych gałęzi kupieckich.

— Nie zawsze tak od razu „zajmowaliśmy stanowiska" za ladą — wtrąca z uśmiechem inny kolega. — Bardzo często chwytaliśmy za szczotkę i pracę zaczynaliśmy od zamiatania i uporządkowania sklepu.

Kariera kupiecka, podobnie jak i wojskowa, zaczyna się od wykonywania najprostszych funkcji, nic nie mających napozór wspólnego z istotą pracy. Ale obowiązki poszczególnych praktykantów nie kończyły się oczywiście na sprzątaniu lokalu. Obejmowały bowiem wszelkie czynności, których

wymaga codzienny tryb życia w kupieckim sklepie. No, więc ekspedycja, likwidowanie jej skutków tzn. usuwanie ogromnych stosów, jakie po skończonej ekspedycji tworzyły się, nieraz nabywanie towarów itp.

Mimo że praca w sklepie wymagała od jej „autorów" dużo wysiłku, spełniana była przez wszystkich nader chętnie. Przyczynili się do tego patronowie, odnoszący się bardzo życzliwie do swych młodych kolegów. Warunki pracy jak i jej wyniki zostały zupełnie zgodnie przez wszystkich kolegów ocenione b. korzystnie. Zresztą wypowiadanie tych ocen było doprawdy zbyteczne, były one bowiem u wszystkich wymalowane na twarzy jasnym uśmiechem zadowolenia. Wszyscy zgodnie żałowali, że muszą już Poznań opuścić.

— „Tyle ciekawych rzeczy widzieliśmy, taka czystość panuje."

— „Kto wie, za ile lat tu znowu przyjedziemy?"

— „Mój szef był taki dobry i uprzejmy..."

— No, a Poznań też odniósł po was tak dobre wyobrażenie jak Koledzy po nim? — zapytałem w pewnym momencie zuchwale.

— Różnie było — odpowiada zagadnięty przeze mnie sąsiad. — Na ogół nie daliśmy jednak powodów do niezadowolenia. Najlepszym tego dowodem jest fakt, — że wielu kolegów otrzymało od swych szefów poważne nieraz sumy pieniężne tytułem wynagrodzenia, mimo że praktyki były pomyślane jako bezpłatne.

Chwytając się metody „szukania dziury w całym" spytałem: — Wikt pewnie mieliście kiepski, żyliście przecież gromadnie, to posiłki były też chyba „koszarowe"?

— Nic podobnego — usłyszałem w odpowiedzi — jedliśmy codziennie doskonale przygotowaną strawę, no i przede wszystkim w dużej ilości. Wszyscy bez wyjątku przybraliśmy po parę, a nawet kilka kilogramów na wadze.

Zresztą sam się później przekonałem, że rzeczywiście potrawy musiały być „na poziomie", gdy zobaczyłem prowianty, jakie moi współpodróżni otrzymali na drogę.

Nie spałem jeszcze, gdy resztę „towarzystwa przedziałowego" już dawno kołysał Morfeusz. Myślałem z zazdrością o praktykach. Tyle obustronnego zadowolenia i korzyści przyniosły; zastąpiły rozkosze letnich obozów. Nie żałowali nasi koledzy „straconego" za ladą czasu, bo z przyjemnością zwiedzania i poznania szerokiej Polski, połączyli indywidualne korzyści — przyjrzeli się praktycznej pracy. Spojrzeli z za lady oczyma kupca na świat.

P. Pien.



—Morze!

Serce poczyna bić szybciej, mocniej miarowo — rodzi się podświadome uczucie dumy narodowej: polskie morze.

Wszyscy — i ci z pod zielonych Karpat i ci z dalekiej Wileńszczyzny, ze Śląska, Krakowa, Warszawy, Poznania składają w milczeniu hołd temu najpotężniejszemu z żywiołów. Milkną rozmowy, śmiechy i żarty w wagonie, wciśnięci w ramy okienne tropią dziwne, bardzo często po raz pierwszy widziane zjawisko. Cisza poranka podkreśla dobitnie powagę chwili: stoimy w obliczu majestatu!

Od Kanału Przemysłowego, od garbu oksywskiego, wtłoczona w barierę pagórków, otoczona łanem zieleni, poprzerywana setkami torów kolejowych, rozłożyła się w kotlinie od Chylonki aż po Kamienną Górę — port Rzeczypospolitej — Gdynia.

Jeszcze przed piętnastu laty główną ulicą miasta popędzali pastuszkowie nędzne krowiny o zapadłych bokach, brnąc w szarym piachu drogi, przy której skupiły się checze rybackie, na podmokłe, zapleśniałe zielenią torfowiska.

A dziś...

Lśnią białością tynku, pęcznieją swą masywnością gmachy w centrum miasta — toną w zieleni ogrodów wille Kamiennej Góry — wystrzela w niebo las kominów, masztów i dźwigów w porcie.

W oparach szarości poranka budzi się miasto, budzi się port. Rozpoczyna się mozolna praca, trud codzienny. Ulice pokrywają się mrowiem ludzi, zdążających do miejsca swego przeznaczenia. Rozwierają się drzwi magazynów portowych, biur, firm maklerskich, banków, wchłaniając napierający tłum. Poczynają skrzypieć dźwigi i krany portowe, wrzynają się w niebo surowością żelaznych konstrukcji. Słychać okrzyki, nawoływania, przekleństwa w różnych językach, turkot wozów... W dali na ciemnym tle Oksywia, na jasnym tle biało-szarych budynków Marynarki Wojennej szarzeją sylwety naszych okrętów wojennych...

Mży drobny deszcz, wzmaga się siła wiatru: skala Beauforta — 7. Fale poczynają mocniej napierać na beton falochronu, rozbryzgując się na miliony iskrzących się kropel. Statek daje skolei trzeci sygnał: „odbijamy!" Śruba poczyna pruć ciemną, niemal w czerń przechodzącą szmaragdową toń wody, wzburzając kaskady piany: woda wre, goreje, kipi...

Statek wychodzi z portu, zostawiając za sobą srebrzystą smugę. Nad rufą — parę mew, prujących w dno powietrze, połyskujących bielą skrzydeł. Fala wzrasta... Czuby bałwanów perlą się kaskadami piany.

W dali niknie Gdynia. Z szmaragdu morza wyłania się stalowa smuga mierzei helskiej. Wytryska w błękit czerwona wieża kościółka, poczynają się odcinać od jednostajnego tła wtłoczone w piasek checze kaszubskie. Obraz nabiera kolorów: czerni się las, jak szpilki tkwią w błękicie maszty miałych kutrów rybackich, widać już przystań „Żeglugi Polskiej"...

Jastarnia.

Jeszcze chwila — statek mija boję sygnałową, wchodzi do portu, zwolna podpływa do molo. Nawoływania, okrzyki, wybuchy radości — maszyny uciszają się, śruba zmniejsza ilość obrotów, wreszcie przestaje pracować, rzucają liny: ho-o-op! statek jest już przymocowany, marynarze przerzucają mostek, pasażerowie tłoczą się ku wyjściu... Ląd, ląd!

Żwir szeleści pod stopami, podniebienie łechcą zapachy ryb: wędzarnia — przetwórnia „frutti di mare" — owoców morza, jak powiadają włosi szosa, znów żwir szeleści pod stopami, tor kolejowy — „na plażę".

Stukoce drewniany chodnik, przerzucony przez piaszczystę wydmę, naszpilkowaną sosenkami. Nieznane uczucie chwyta za serce... lęku... niepewności...

Morze!

U stóp rozciąga się ciemna płachta morza, pofałdowana, poprzecinana białymi nitkami grzbietów fal. Błękit się topi w szafirowej wodzie: morze wrzyna się w niebo. Na widnokręgu wykwita czarno - czerwona sylwetka statku — do Gdyni.

Bałtyk...

Serce napełnia uczucie Kongnistadora, odkrywającego nowy ocean — a jednocześnie chce się paść na kolana na lniano barwny piasek, płakać ze szczęścia i dziękować Bogu, że to polskie, polskie morze.

— — — — — — — — — —

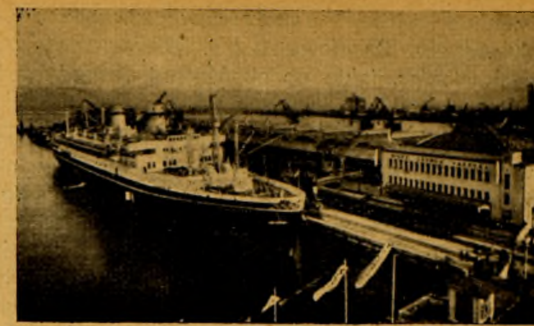
Inżynier zapala się, mówi coraz szybciej dosadniej.

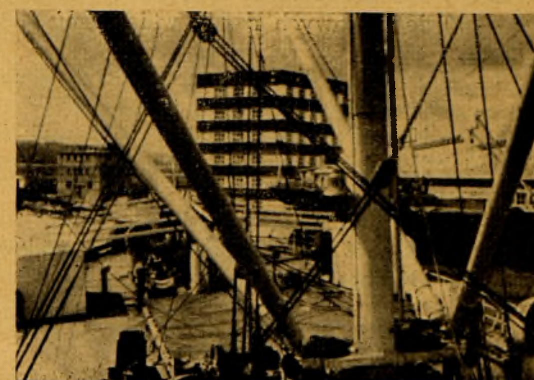
— Musimy zbudować własną stocznię, Stocznia Gdyńska to tylko warsztaty. A czy wiecie panowie, ile zapłaciliśmy stoczniom zagranicznym w ostatnich latach?

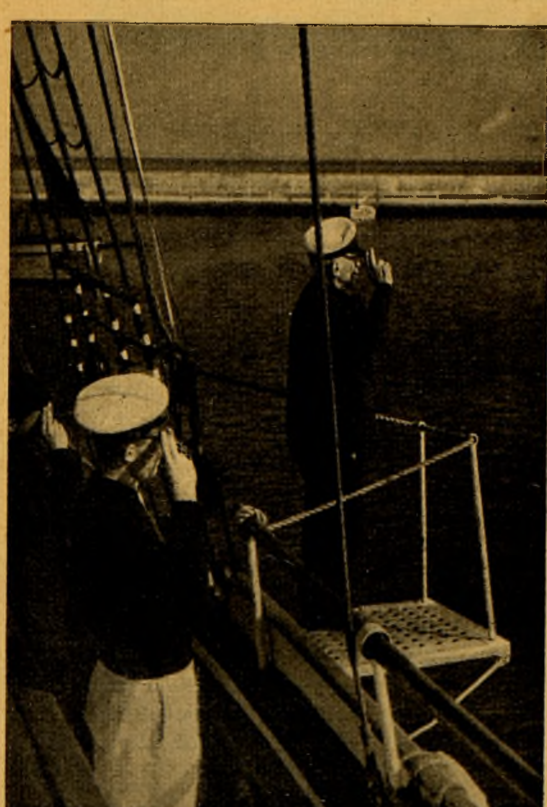
Milczenie.

— Przeszło 300 milionów złotych. Taaaak, panowie: 300 milionów! zachłystuje się tą liczbą, pieści, znów milczenie — potem słowa potakiwania.

Opodal na tle szmaragdowego basenu czerni się dok pływający. Ponad dok wystrzelają maszty żaglowca — „Elemka".







Inżynier ciągnie swoje wywody dalej, przekonuje, poucza.

— Statek 1000 tonnowy, przeciętny statek handlowy kosztuje około 660.000 zł. Aby kupić statek musimy zań zapłacić. Złota nie mamy, a więc drogą eksportu. Chcąc uzyskać owe 600 tysięcy drogą wywozu za granicę musimy sprzedać około 38 tysięcy ton węgla pierwszej jakości. Tona węgla za granicą kosztuje 13 szylingów, tylko trzynaście. W kraju zaś — powiedzmy — 35 złotych tonna. Gdyby sprzedać ten węgiel w kraju otrzymujemy kwotę 1.347.500 zł., wynika z tego, że zamówienie statku za granicą kalkuluje się dwa razy drożej.

Inżynier odsapnął.

— Ale my się na szczęście rozbudowywujemy. Podwyższyliśmy nasz kapitał zakładowy czterokrotnie. Zaczynamy budować statki w Polsce. Jedna pochylnia jest już gotowa. Pierwszy statek 1200 tonnowy zamówiła „Żegluga Polska". Radosnym będzie dzień, kiedy będzie położona stępka na nowej pochylni pod pierwszy statek. Dzień ten rozpocznie nową erę, będzie symbolem morskiej potęgi Polski. Musimy stać się państwem morskim! Za wszelką cenę!

Słowa potakiwania. Rozpryskują się iskry pod młotem, jarzą się płomienie w maszynach do spawania, dzwoni stal... Tu się wykuwa Polskę nową, lepszą.

— Obok naszej stoczni w rekordowym tempie buduje się stocznia Marynarki Wojennej. Obecnie spuściła na wodę dwa tranlery... Może jeszcze w tym roku zacznie się budować pierwszy okręt podwodny. Lecz te dwie stocznie to mało, bardzo mało. Czy wiecie panowie, ile Anglia posiada stoczni?

— Piętnaście! pada odpowiedź.

— Piętnaście??! — Około dwustu, dwu-s-tu!

Zaczynamy uśmiechać się z niedowierzaniem: dwustu?

— Tak, tak panowie. Dlatego Anglia stanowi potęgę morską i jednocześnie potęgę finansową.

Inżynier opowiada dalej, wysuwa postulaty, żąda. Rodzą się wizje wspaniałej przyszłości. Do oczu napływają obrazy przyszłej potęgi morskiej... Polska! ślubujemy, przysięgamy...

— Nie, na nic się zdadzą przysięgi! Tu trzeba pracy.

Leszek M. Bartelski



WOJSKO IDZIE

Manewry były skończone i pułk wracał do miasta, do swego garnizonu. Zakurzone, schlastane błotem, zmęczone kompanie i bataliony stanęły wzdłuż szosy, sięgając pierwszych wąskich uliczek, jeszcze na pół wiejskich, jeszcze nie brukowanych, co biegły między płotami warzywnych ogródków i pochylały się krzywymi chodnikami nad mętną strugą ścieków. Za czołowymi oddziałami stanęły dalsze i szosa, wybiegająca daleko w opustoszałe jesienne pola, zaroiła się ludźmi.

Cała dywizja na postoju w cieniu wierzb przydrożnych przygotowywała się do uroczystego przemarszu przez miasto. Przez swoje miasto, do którego zatęskniły już żołnierskie serca i oczy podczas długich, męczących manewrów.



Oto znów będzie można pójść w niedzielę do kina; znów będą oglądali wystawy sklepowe i paradowali dokoła starego rynku w wyjściowych sukiennych mundurach, w czapkach na bakier, z fantazją—aż oglądają się cywilni obywatele: **jacyż to piękni nasi żołnierze!** Oto znów zamieszkają w czystych, porządnych koszarach, gdzie mają swoją świetlicę, radio, gazety; znów będą kąpać się w łaźni i każdy z nich wypocznie po uciążliwych marszach, po zwiadach, czujkach, nocnych atakach, po kopaniu rowów strzeleckich, po przeprawach i znoju tego życia w polu, tak podobnego do wojny.

Prawda i to, że uśmiecha się żołnierzowi takie właśnie życie: dzisiaj tu, jutro tam; że wesoła i męska to sprawa — wojskowe ćwiczenia jesienne. Prawda, że nie było im źle na wsi, gdzie ludzie chętnie i przyjaźnie witają wojaków, którzy i w gospodarstwie i przy inwentarzu nieraz pomogą, a jeśli trzeba, to i własną strawą z biedotą się podzielą. Ale taka już wojskowa natura, że zawsze pragnie zmiany i ze zmiany się cieszy. A i to też prawda, że sumiennie zapracowali na odpoczynek zimowy.

Oporządzali się tedy na owym postoju, buty czyścili aż blask bił, podciągali pasy i troki, opatrywali rynsztunek, pucowali broń, golili się, myli gęby ogorzałe od słońca, żeby przecie godnie się temu swojemu miastu zaprezentować.

Najbardziej chyba dbał o swój wygląd szeregowiec Józef Gawronek. Dbał zaś z tego prostego powodu, że ze wszystkich rodzajów broni uważał piechotę za broń najważniejszą; ze wszystkich pułków piechoty — swój pułk za najlepszy; w pułku tym — pierwszy batalion za najdzielszy; druga kompania tego batalionu była niewątpliwie wzorem godnym naśladowania dla wszystkich innych kompanii; trzeci jej pluton był perłą wśród plutonów; w plutonie zaś trzecim służył sam szeregowiec Gawronek, zażywając wśród większości kolegów nie byle jakiej powagi.

Pocował się więc i muskał, jak panna przed ślubem; przyczesywał krótko strzyżoną czuprynę i robił marsowe miny do własnego odbicia w lusterku u okna przydrożnej chaty, aż Staszek Pituła, kamrat jego z tej samej sekcji otwierał szeroko gębę i mrugał oczami z wielkiego podziwu.

— No, dobrze wyglądam? — zagadnął go wreszcie Gawronek.

— Jak lew — odpowiedział Pituła bez namysłu.

Ta odpowiedź trochę zaskoczyła Gawronka, ale i pochlebiła mu przecież, bo któż by nie chciał wyglądać jak lew wobec kolegów z innych plutonów.

— **A widziałeś ty kiedy lwa?** — zapytał.

— Co bym nie miał widzieć — mruknął Pituła. — Widziałem na obrazku, jak Pan Jezus na nim do Jerozolimy wjeżdża.



Ryknęła brać żołnierska śmiechem, Gawronek zaś, zapomniawszy języka w gębie na dobrą chwilę, już się odciąć nie zdążył, bo właśnie padły rozkazy i kompanie stawały pod bronią.

Ruszyli. Długi wąż

wojska przewinął się przez ulice i pierwsze szeregi widać już było u wylotu rynku, gdzie po środku w otoczeniu generalicji, oficerów, przedstawicieli miasta i władz cywilnych stał generał dowodzący korpusem.

Wzdłuż ulic i na rynku, za szpalerem utworzonym przez młodzież szkolną, cisnęli się ludzie. Z tłumu wznosiły się okrzyki powitania i sypały się kwiaty pod nogi maszerujących oddziałów.

Wtem orkiestra zagrała marsza, pułkownik prowadzący defiladę błysnął w słońcu szablą, salutując z konia dowódcę korpusu i zwarte czwórki piechoty sprężyły się na baczność. Szli, wybijając na bruku takt podkutynmi butami, aż ziemia drżała.

Orkiestra skręciła w lewo, zaszła za trybunę generalicji, stanęła. Warczały bębny, grzmiały trąby, gwizdały flety, brzękały czynele.

— Rraz! Dwa! Trzy! Cztery!

Równo, butnie kołysały się jednakowo, jak pod sznur pochylone karabiny. Grzmiał twardy krok marszowy. Śmiały się opalone twarze piechurów. Szli, jak mur. Mogło się zdawać, że przejdą tak przez wszelkie przeszkody, że nic nie zdoła ich zatrzymać, że dojdą wszędzie, dokąd ich pośle rozkaz. Kompania za kompanią, batalion za batalionem — cały pułk.

— Niech żyje piechota! — krzyczał tłum i rzucał kwiaty. Przeszli. Za nimi ruszyła orkiestra, by odprowadzić ich do koszar.

Ale już słychać było następną, która grała skocznie i wesoło, choć nie tak ostro, z przewagą prostych fanfarowych trąbek. To na siwych koniach jechała orkiestra ułańska, za nią zaś wysokie trzciny wyrastały lance i pysznił się wysoko w słońcu szumiący potok trójbarnych proporczyków.

— Niech żyją ułani!

Jechali dumnie na lśniących koniach, które tańczyły w takt muzyki, przysiadając na zadach.

Za nimi, dudniąc żelazem i spiżem, waliła kłusem konna artyleria — po sześć koni w zaprzęgu działowym. Bateria za baterią, dywizjon za dywizjonem, z brzękiem szabel, ze stukotem kopyt końskich po bruku, z fantazją, aż okrzyki same się wydzierały z piersi patrzących:

— Niech żyją!

A potem —broń pancerna, czołgi, tankietki, samochody, motocykle. Saperzy, tabory, polowe czołówki sanitarne.

— Niech żyją! — krzyczał tłum, zadzierając do góry głowy, bo właśnie na niebie ukazał się rój samolotów.

— Niech żyją!

Wojsko szło i szło. Piękne, sprawne, dobrze uzbrojone i umundurowane, świetnie wyszkolone wojsko. Każdy je podziwiał i każdy się cieszył jego wyglądem. Każdy je witał serdecznie. Aż szeregowiec Pituła zaczął po swojego mrugać z wielkiego frasunku i zdziwienia, czego się „cywile" tak cieszą na jego powrót z manewrów.

A „cywile" cieszyli się, bo to przecież wracało z manewrów nie jakieś tam wojsko, tylko polskie, nasze, przez cały naród kochane.

J. M.



Na wsi



Z rozkazem...



Gdzie nieprzyjaciel?

NA ARENIE MIĘDZYNARODOWEJ

Pewne wydarzenia lub konflikty między dwoma narodami, bardzo nawet odległymi w przestrzeni, wpływają nieraz bardzo wydatnie na zmiany w układzie stosunków międzynarodowych, na odcinkach pozornie bardzo odległych. Powiązanie bowiem interesów gospodarczych i politycznych na świecie jest tak wielkie, że uderzenie w jednym miejscu międzynarodowego łańcucha wywołuje żywy odzew w wielu odległych punktach. Możnaby powiedzieć, że na arenie międzynarodowej nie dzieje się nic albo prawie nic, coby w większym lub mniejszym stopniu nie interesowało państw, które bezpośrednio w danym wydarzeniu udziału nie biorą.

Ostatnie wydarzenia na terenie międzynarodowym wyraźnie pozwalają obserwować ścisłość tych powiązań.

Bo zauważmy: **wojna chińsko - japońska** zaangażowała energię Japonii do tego stopnia, że w bloku antykomunistycznym: Japonia, Włochy, Niemcy, stworzonym w listopadzie 1937 r., pozostały tylko te dwa ostatnie państwa. Nie pozostaje to bez wyraźnego wpływu na układ stosunków w Europie. Japonia bowiem, mając skrępowane ręce wojną, nie może wywierać żadnego nacisku na Anglię.

Fakt ten pozwala Anglii w pełni poświęcić swą uwagę **sprawie Niemców sudeckich.** Zagadnienie 3-milionowej mniejszości niemieckiej, zamieszkałej w Sudetach, w Czechosłowacji, uczynił Hitler — po zajęciu Austrii — naczelnym punktem programu polityki międzynarodowej III. Rzeszy.

Wszyscy Niemcy żyjący na całym świecie tworzą jedną wielką wspólnotę narodowo - socjalistyczną — mówi Hitler i dodaje: które z państw prześladuje niemieckich rodaków, naraża się na interwencję zbrojną III. Rzeszy. Tę groźbę zamierzały Niemcy wprowadzić w czyn w krytycznych dniach 20—21 maja br., kiedy to Wielka Brytania interweniowała w Berlinie, ratując pokój, co nie mogło być obojętne żadnemu państwu europejskiemu, a więc i Polsce.

Sprawa maleńkiej **Palestyny,** gdzie od trzech lat prawie trwają zamieszki, których Anglia nie może opanować, wskazuje, jak łatwo byłoby Japonii, niezaabsorbowanej w Chinach, pomóc Hitlerowi przez zorganizowanie np. jakiejś nowej „sprawy palestyńskiej", której by polityka wielkobrytyjska musiała poświęcić całą swą energię. Takich „spraw" nie brak na Dalekim Wschodzie. A wówczas nie wiadomo, czy w dniach 20 i 21 maja Anglia zdołałaby interweniować w Berlinie **skutecznie.**

Taką „sprawą palestyńską" mogłoby być zajęcie przez Japonię choćby wyspy Hainau, przez co posiadłości azjatyckie i pozycja mocarstwowa Anglii i Francji na Oceanie Spokojnym zostałyby zagrożone. Był nawet moment, kiedy Anglia i Francja oznajmiły w Tokio, że jeśli siły zbrojne Japonii wylądują na Hainanie, to mocarstwa te wysadzą również tam swe wojska. Wówczas Daleki Wschód mógłby się stać trzecim obok Hiszpanii i Sudetów ogniskiem zapalnym, zdolnym wywołać pożar światowy.

Z drugiej strony konflikt graniczny, sprowokowany przez **Rosję zajęciem** niektórych **punktów strategicznych na terytorium japońskim,** powstrzymywał postępy ofensywy japońskiej. Z frontu chińskiego musiała Japonia wyciągać dywizje i posyłać je na pogranicze sowiecko - mandżurskie. Pokojowe komunikaty japońskie wskazywały niedwuznacznie, że Japonia nie chce rozszerzenia się tego konfliktu, bo ma dosyć kłopotu z Chinami. W ten sposób za jednym razem Rosja pomogła armii chińskiej marszałka Czang-Kai-Szeka i dalekiej, a sprzymierzonej Czechosłowacji. Okazało się bowiem ostatecznie, że Japonia nie może sobie pozwolić na świadczenie jakichkolwiek usług na rzecz swego niemieckiego i włoskiego partnera, co nie może pozostać bez wpływu na sytuację w Europie.

Przeprowadzenie przez Niemcy **próbnej mobilizacji armii niemieckiej** na ogromną skalę (półtora miliona ludzi pod bronią) miało zastraszyć sąsiadów i wpłynąć na rozwiązanie sprawy sudeckiej jak najbardziej po myśli Niemiec.

Próbna mobilizacja nie pozostała jednak bez echa na drugim kontytencie. **Roosevelt, prezydent St. Zj. A. P.**, wygłosił **przemówienie,** skierowane przeciw metodom bezpośrednim, stosowanym przez Japonię, Niemcy i Włochy. Przemówienie to nie wywołało żadnego sprzeciwu opinii amerykańskiej, jakby się tego można było spodziewać; wskazuje to, że jakkolwiek doktryna Monroego i przywiązanie do tradycyjnych zasad izolacyjnych nie pozwalają rządowi Stanów Zjednoczonych zaciągać formalnych zobowiązań w Europie, to jednak w stosownej chwili Stany gotowe są rzucić swój głos na szalę wypadków.

W związku z mobilizacją niemiecką nasuwają się smutne refleksje porównawcze. W Niemczech cały naród bierze udział w mobilizacji wszystkich sił dla osiągnięcia celu postawionego przez rząd. **We Francji** dwu ministrów usiłuje wywołać kryzys gabinetowy,, ustępując z rządu w odpowiedzi na wezwanie premiera Daladiera,, który chce zmusić naród do bardziej intensywnej pracy nad zorganizowaniem obrony

Minęły czasy, w których można było, jak w 1914, improwizować obronę i w czasie wojny nadrabiać zaniedbania w dziedzinie uzbrojenia i wyćwiczenia armii oraz zaopatrzenia technicznego w sprzęt. Dziś bardziej niż kiedykolwiek losy wojny ważą się nie w okresie wojny, lecz w okresie przedwojennym. W tym zaś okresie decyduje ilość wykonanej pracy.

Sytuacja wewnętrzna Francji nie może być obojętna dla jej sojuszników.

Stanowisko Polski i wytyczne jej polityki zagranicznej, podobnie jak innych państw, uzależnione są w pewnej mierze od ciągle zmieniających się orientacji i przegrupowań państw europejskich i potęg kontynentalnych. Odległa na pozór sprawa hiszpańska, wpłynęła całkiem widocznie na konieczność zajęcia stanowiska w nowym układzie sił europejskich.

Nominalnie zalicza się często Polskę do bloku państw rządzonych totalnie, mimo że nie łączy jej z nimi ani struktura gospodarcza ani ustrojowa. Przy wszystkich pozorach i sugestiach, Polska szuka nazewnątrz **uznania dla jej własnej,** do potrzeb jej położenia dostosowanej **polityki zagranicznej i wewnętrznej.**

Przez swego ministra spraw zagranicznych J. Becka, w czasie jego letniej wizyty, państwo znajduje platformę porozumienia z krajami nadbałtyckimi. Wizyta min. Becka przyniosła niemało ożywienia i wywołała liczne komentarze na forum międzynarodowym.

Ruchliwość i orientacje polskiego ministra pozwalają na stopniowe regulowanie sprawy mniejszości polskich w innych krajach. Chodzi bowiem o wzajemne respektowanie traktatów mniejszościowych i uniezależnienie się od dawniej narzuconych.

Z innych aktualną jest również sprawa odwołania z Ligi Narodów stałego delegata. Polska, idąc w tym względzie za wzorem innych państw, likwidację tej delegatury motywuje względami oszczędnościowymi.

Słowaczyzna w żałobie.

W dniu 17 sierpnia b.r. zmarł w Rużomberku na Słowaczyźnie ks. Andrzej Hlinka, bojownik o suwerenność Słowacji, w Polsce odznaczony wielką wstęgą orderu „Polonia Restituta". W zmarłym Infułecie tracą Słowacy bezkrwawego bojownika o swoją wolność.

J. B.



Na dalekich krańcach Europy, tam gdzie Ocean Lodowaty obmywa skaliste fiordy, wśród niegościnnych gór, żyją resztki niegdyś licznego narodu, który zamieszkiwał nie tylko pół Skandynawii, lecz także obozowiska swe rozkładał nad jeziorem Onega.

Są to Lapończycy, mały niepokaźny ludek o skośnych oczach i krzywych nogach. W wiecznej wędrówce poprzez góry i tundry ostatni koczownicy Europy przebiegają ze swymi stadami renów ogromne przestrzenie północy trzech państw Skandynawskich: Szwecji, Finlandii i Norwegii. Szczep ten, który tyle wycierpiał, na który dawniej polowano jak na zwierzęta, powoli wymiera.

Ekspansja Finów i Szwedów ku północy wypiera ich ku najbardziej odludnnym i niegościnnym częściom kraju. Wiele nazw geograficznych nad zatoką Botnicką, wskazuje na to, że niegdyś mieszkali tam Lapończycy. Nawet w górach, zdawałoby się niezdolnych do zamieszkania, gdzie żadna kultura rolna nie może się utrzymać, zjawiają się osiedla górnicze i fabryczne. Bogate złoża rudy żelaznej powodują napływ ludzi z południa. Ciszę i majestat wiecznie ośnieżonych gór, przerywa ryk syreny lub stuk potężnych młotów hutniczych. Do kopalń buduje się drogi, koleje, do fiordów wpływają parowce wszystkich bander świata. Nic więc dziwnego, że w tym otoczeniu koczownik czuje się źle, ucieka w niedostępne góry, traci reny, którym brakuje paszy, lub też zostaje robotnikiem. Dzieci jego są wątłe i szybko umierają.

Lecz mimo ciężkich warunków bytowania Lapończyk jest pogodny, a jego dzieci należą chyba do najweselszych na świecie. Jakkolwiek od najmłodszych lat zmuszone pomagać rodzicom — na dalekiej północy nikt na próżnowanie pozwolić sobie nie może, nigdy nie tracą humoru i zabawami wykazują dużo pomysłowości.

Już dziesięcioletnia dziewczyna potrafi upiec chleb, a chłopak w jej wieku wiosłuje podczas połowu na ciężkiej łodzi ojca, lub szuka w górach jaj ptasich.

Z wiekiem rozszerza się zakres pracy. Czternastoletni Lapończyk jest już prawie dorosłym człowiekiem. Dziewczyna nie tylko gotuje, lecz wyprawia również skóry i szyje ubrania futrzane, co nie jest wcale rzeczą łatwą. Młodzi mężczyźni zajmują się renami. Strzegą ich na pastwisku i podczas marszu, łapią na lasso, juczę przed wędrówką. Młodość dla tych dzieci dalekiej północy wcześnie się kończy.

Jedyną rozrywką w tych dalekich, odludnych stronach są zawody i ćwiczenia fizyczne. Lapończyk posiada już w swej naturze żyłkę współzawodnictwa i dlatego pasjonuje się wieloma sportami. Wielkie wyścigi jazdy włókiem za renem (skiring) są dorocznym świętem, gromadzącym dużo ciekawych. W konkurencji tej startują jednak zwykle starsi, właściciele dużych stad, którzy chcą się pochwalić pięknym, wyścigowymi renami. Młodzieży pozostają zwykle biegi narciarskie, walka wręcz i skoki.

Dzieci Lapończyków nie dużo się uczą. Jest rzeczą oczywistą, że w górach umiejętność rzucania lasem czy zszywania skór jest rzeczą bardziej cenną i pożyteczną niż np. znajomość algebry; rządy państw skandynawskich wychodząc jednak z założenia, że nie mogą tolerować na swych terenach zupełnych dzikusów, zorganizowały specjalne szkolnictwo dla młodych normadów. Dawniej wychowaniem Lapończyków zajmowali się wędrowni nauczyciele, którzy przenosili się razem z obozowiskiem koczowników, ucząc ich dzieci i udzielając rad dotyczących drobiazgów życia codziennego. System ten jednak, tak jak poprzedni, kiedy to umieszczano małych Lapończyków w internatach na probostwach, nie dał dobrych rezultatów. Obecnie specjalny departament szkolnictwa dla terenów północnych w szweckim ministerstwie oświaty wprowadził nowy system. Malcy uczą się nie zmieniając zupełnie trybu życia, w warunkach przypominających koczowiska w górach. Szkoła tak samo jak internat — to zwykła kota (namiot lub szałas) zbudowana z drzewa lub torfu. Nauczycielami są przeważnie Laponki. Nauka czytania i pisania dla młodszych odbywa się po lapońsku dla starszych po szwedzku. Zajęcia podczas niepogody odbywają się w jurcie. Na środku koty pali się ogień, który oświetla wnętrze i umożliwia czytanie. Ławkę ma jedynie nauczycielka, dzieci siedzą na ziemi. W dnie pogodne dzieci uczą się na polu. Trzeba zaznaczyć, że na północy rok szkolny trwa podczas krótkiego lata dwa do trzech miesięcy.

Główny nacisk kładą Lapończycy na religię. Nie jest to dziwnym jeśli się weźmie pod uwagę, że ostatni poganin został ochrzczony sto lat temu; w połowie ubiegłego stulecia. Lapończycy oburzeni nietaktywnym postępowaniem pewnego pastora z Kautakeino w Tinnmarkii norweskiej, urządzili rzeź przybyszów z południa. Zresztą jeszcze dziś wiele przesądów wskazuje na to, że ci ostatni koczownicy Europy nie są z całego serca chrześcijanami.

Drugim ważnym przedmiotem, któremu poświęca się wiele uwagi, jest historia szwedzka i nauka o państwie. Młodym Lapończykom wbija się w głowę, że są poddanymi króla, któremu winni w każdym wypadku dochować bezwzględną wierność. Malcy codziennie wciągają na maszt sztandar państwowy, któremu następnie oddają honory. Tendencją zjednania Lapończyków dla szwedzkiej idei państwowej jest na ogół nowa i datuje się zaledwie od



kilku lat, kiedy to zdano sobie sprawę, że nieurodzajne prowincje północne z racji swych ogromnych bogactw rud żelaznych, tak ogromnie potrzebnych każdemu państwu do prowadzenia gospodarki wojennej, stać się mogą obiektem obcej inwazji. W tym wypadku, większa ilość ludzi doskonale obeznanych z warunkami życia w strefie polarnej mogłaby w razie wojny odegrać swoją rolę.





By zrekompensować jednak rodzicom fakt, że przez kilka miesięcy w roku dzieci nie pomagają im w pracy, uczy się młodych Lapończyków szeregu umiejętności praktycznych z zakresu hodowli renów, medycyny i rzemiosł.

Lecz gdy nadchodzi jesień, a potem długa noc polarna dzieci wracają ze szkoły do rodziców.

Koczownicy kończą wtedy letnią wędrówkę przez góry i rozbijają swe obozy w dolinach. gdzie gęsta ściana lasu chroni ludzi i zwierzęta przed wściekłymi podmuchami burz polarnych. Wtenczas na około ogniska zbiera się cała rodzina i płyną stare opowieści o Uldasie, olbrzymie okrutnym, a głupim i jego żonie Rutagis, o Stallo — karzełkach mieszkających w jeziorach, o czarownicach, o duchach gór straszliwych i dobrych, o zwierzętach, które rozumieją mowę ludzką i o ludziach straszniejszych dla biednego Lapończyka niż najgorsze zwierzęta. Wtenczas ginie cały wpływ jaki wywarła szkoła na duszę dziecka. Natknąwszy się w puszczy na tajemnicze kamienie znaczone runami młody Lapończyk odda im cześć tak jak, to czynili jego ojciec, dziad i praszczur.

Stanisław Łukasz.



Gdzieś w Lubelskim, jakiegoś chłopca ukąsiła żmija. Natychmiast zawieziono go na stację, pierwszym pociągiem odstawiono do Warszawy. Taką wiadomość przeczytałem parę dni temu w gazecie. Tak! jest to rzadki, na szczęście — tak rzadki, wypadek, że o nim piszą dzienniki!

I wtedy pomyślałem: jak wyglądałyby, jak musiałyby wyglądać czasopisma takiej Brazylii gdyby chciano na ich szpaltach rejestrować każdy wypadek pokąsania przez jadowite gady! O tak! dzienniki musiałyby znacznie powiększyć swoją objętość, komunikaty zajmowałyby całe strony.

*

Będąc w Brazylii nie ominąłem okazji odwiedzenia słynnego na cały świat Instytutu w Butantan, instytutu, w licznych laboratoriach, które wytwarzają tę surowicę będącą jedynym ratunkiem człowieka, który... zawiera bliższą znajomość z ostrymi jak szpileczki zębami jadowitego węża.

Instytut leży w cudownym parku niedaleko San Paulo. Właściwie — nie można powiedzieć instytut... leży... w parku, ten park stanowi nierozerwalną całość z całym zakładem, w paru tym bowiem zamieszkują „pensionariusze" instytutu, setki, ba! tysiące! jadowitych węży. Wszystkie gatunki jakie tylko można spotkać w Ameryce Południowej i Środkowej, od Ziemi Ognistej aż po zbocza dalekich Gór Skalistych.

*

Proszę potrząsnąć zaciśniętym mocno w dłoni pudełkiem z zapałkami. Tam, w dalekim interiorze, ten szeleszczący dźwięk powoduje histeryczny popłoch wśród zwierząt i nawet ludzi, przypomina bowiem...

— Cascavel, grzechotnik, Senor — wyjaśnia uprzejmie laborant instytutu, — jest to jeden z mniej szkodliwych, mniej niebezpiecznych, gatunków naszej plagi.

Mniej szkodliwych, to znaczy ukąszenie nie zawsze jest śmiertelne, to znaczy, że czasem kończy się długą i ciężką chorobą, chorobą zakończoną przeważnie kalectwem.

Dźwięk wstrząsanego pudełka zapałek wydaje grzechotnik poruszając podniesionym do góry końcem zrogowaciałego ogona, tak zwaną grzechotką. Cascavel jest „grzeczny", chciałoby się rzec — ostrzega: baczność! jestem! tu śmierć!

Spacerujemy po parku instytutu. Ogromne klomby w kształcie elipsy oddzielone od ścieżek betonowym rowem z wodą i niewysokim murkiem. Rów ma może z metr szerokości, wysokość murku sięga zaledwie do kolan. Na klom-



bach — ułożone z głazów półokrągłe domki przypominają budowle termitów. Są to właśnie domki schroniska jadowitych gadów. Niezliczona ich ilość wygrzewa się na krótko podstrzyżonej trawce klombów, leniwie czołga się po wyżwirowanych ścieżkach, pływa w rowie z wodą. Najrozmaitsze gatunki, okazy różnych wielkości. Od najmniejszych, nie większych nad długość palca, do przeszło metrowych „żararak".

Czy jednak taka mizerna przeszkoda jak niewysoki murek i rów z wodą wystarcza do zabezpieczenia spacerujących po parku ludzi, do zabezpieczenia całej... okolicy instytutu? Jakby zgadując moje myśli oprowadzający mnie laborant uśmiecha się i zaczyna tłomaczyć:

— Senor prawdopodobnie słyszał opowiadania o skokach żmii? Są to efektowne bajeczki... myśliwych. Węże są nieruchawe, właściwie — niezdarne. Trzeba pamiętać że mogą unieść nad ziemią zaledwie jedną trzecią długości swego ciała. Czynią to nawet z dużą szybkością, ale nazwać tego skokiem jeszcze nie można. Chyba że z wysokości drzewa lub krzaka, ale widzi Senor — na tych klombach drzew nie mamy.

Z największym podziwem patrzę jak mój przewodnik włazi na murek i przeskakuje rów z wodą. Ma na sobie lekkie płócienne ubranie i wysokie, sztywne buty z cholewami. W ręku długi kij rozwidlony na końcu. Grzechotniki reagują natychmiast. Nad klombem unosi się dźwięk — tak przypominający szelest zapałek w pudełku.

Mały laborant instytutu porusza się spokojnie, ruchy ma pewne, opanowane, rysy ciemnej twarzy ściął wyraz napiętej uwagi, skupienia. Bacznie patrzy sobie pod nogi. Chodzi mu o to by nie nadeptać na małego wężyka, nie uszkodzić... „narybku". A przecież i ten „narybek", taki skarb kilkacentymetrowy, jednym zadraśnięciem ząbków potrafi przenieść człowieka na tamten świat!

— Chce Senor zobaczyć piękny okaz „Urutu"? Jeden z najjadowitszych gadów! Szybkimi ruchami kija rozrzuca syczący kłąb splątanych ciał. Na tak „oczyszczonym" placu pozostaje duży wąż wyróżniający się pięknym deseniem skóry. Jest grubości ramienia sporego dziecka, długości — przeszło metr. Tylko ciało jakieś nieforemne, krótki ogon, spłaszczona głowa, ot — taki... serdelek.

Złapawszy odpowiedni moment, laborant przyciska rozwidlonym kijem wściekle rzucającego się gada do ziemi, a potem, rzuciwszy jeszcze raz bacznym okiem na najbliższych „sąsiadów", chwyta go gołą ręką za szyję, tuż za szczękami. Wijący się ogon przytrzymuje łokciem. Wraca do mnie.

— Proszę spojrzeć! W szeroko rozwartej paszczy, jakby na zawiasach zawieszone, opadają z górnej szczęki dwa zlekka zakrzywione zęby, — są puste w środku a ich kanaliki połączone są z gruczołami wytwarzającymi jad. O! proszę, proszę! naciska pincetką coś w głębi paszczy i na koniuszkach zębów ukazują się dwie duże, oleiste, żółte krople. Ostrożnie strząsa je na piasek ścieżki i powtarza operację. Tym razem krople wypływają znacznie mniejsze. Za czwartym, piątym razem — ledwie się ukazują.

— Wąż jest już „wydojony", Senor, tłumaczy mnie mały człowieczek, teraz przez pewien czas będzie nieszkodliwy, albo... prawie że nieszkodliwy, bo nawet ślad jego jadu, jeżeli trafi w odpowiednie miejsce, może być śmiertelnym.

— Jak to — w odpowiednie miejsce?

— Chciałem powiedzieć: w zależności od tego — w jaką część ciała się dostanie. W rękę, nogę, udo... no to nasza surowica, zastrzyknięta naturalnie natychmiast, przeciwdziała skutecznie. Natomiast w wypadku ugryzienia w twarz, albo pierś — ratunek jest bardzo wątpliwym. Na szczęście zdarza się to stosunkowo rzadko. Najwięcej wypadków zarejestrowanych to — ucięcie w nogę. Prawie 80 procent. Na plantacjach przecież buty — należą jeszcze do rzadkości! A gruby, wysoki but — to zupełnie wystarczające zabezpieczenie. Mam z tymi wężami do czynienia codziennie, już przez kilkanaście lat, i widzi Senor... jakoś żyje.

Uśmiecha się szeroko. Skupiona, ostro rzeźbiona twarz rozjaśnia się na chwilę, na małą chwilę, i znów ścina ją wyraz napiętej uwagi. W rysach małego laboranta z Instytutu w Butantan można wyczytać: BACZNOŚĆ! Rzeczywiście, musi się mieć na baczności, ciągle, przez długie godziny pracy ze swymi pupilami.

*

Przechodzimy do sąsiednich „klombów". W znacznej odległości od rowu i obmurowania kilka drzew, a na tych ostatnich... jak jabłka na jabłoni, i to w czasie dobrego urodzaju! — węże. Zwinięte w kłębek lub rozpłaszczone wzdłuż gałęzi, lub poprostu zwisające luźno niczem liany — tworzą makabryczne upiększenie

Niektóre barwą swej skóry tak dostosowały się do otoczenia, że dopiero po dłuższym wypatrywaniu można je wypatrzyć, są blado zielone.

Jeden z gadów zwisa bezwładnie głową w dół. W środku ciała wyraźne zgrubienie.

— Senor widzi? Upolował ptaka a teraz rozkoszuje się poobiednią siestą, trawi. A ten, ten! Obrzydliwy obżartuch! Straciłem znów piękny okaz!

Laborant jest zdenerwowany. Na trawie, tuż przy ochronnym murku — wstrętny obrazek: większy wąż połyka mniejszego. Już połowa ciała biedaka zniknęła w paszczy zwycięzcy, a jeszcze żyje, jeszcze bije ogonem. Wyrwać się jednak nie może. Powoli, centymetr po centymetrze znika. Gdyby wąż teraz nawet chciał wypluć swoją ofiarę — nie mógłby. Przeszkadzają zakrzywione zęby.



*

Wieczorem tego dnia służący prawdopodobnie pomyślał, że zwariowałem. Najdokładniej przewróciłem do góry nogami cały pokój Zaglądałem pod szafy, materac, zbadałem umywalkę. Wszędzie węszyłem jadowitego sublokatora...

P. Mart.



Wspomnienie szkolne

W czerwcu 1919 roku spełniły się moje marzenia: zostałem wreszcie odkomenderowany z 7 eskadry im. T. Kościuszki na kurs pilotażu do Krakowskiej Szkoły Lotniczej.

Byłem wtedy plutonowym. Wszyscy kaprale wiedzą, że jest to szarża godna i niemała. Miałem lat 18 ale utrzymywałem, że mam 21. Prawie każdy 18-letni młodzieniec przyzna, że miałem rację, choć prawdziwy mój wiek też był właściwie dostatecznie poważny.

To nic, że dziś myśle trochę inaczej; kaprale, zwłaszcza 18-letni kaprale mają mimo to rację.

Ponieważ przed wstąpieniem do wojska w roku 1918 studiowałem budowę maszyn i elektrotechnikę na I-szym kursie Szkoły im. H. Wawelberga i S. Rotwanda w Warszawie, dowództwo 7-mej eskadry uznało moje wiadomości techniczne za wystarczające do pełnienia ważnych i odpowiedzialnych obowiązków pomocnika mechanika, czyli — jak się wówczas mówiło — aparats szofera. I właśnie jako pomocnik aparatsszofera przybyłem do Krakowa w charakterze ucznia pilota.

Wyobrażałem sobie... No, mniejsza o szczegóły: wyobrażałem sobie, że jako kandydat na pilota doznam innego przyjęcia w szkole niż doznałem. Oto pierwszego dnia po południu, gdy już załatwiono ze mną sprawy ewidencyjne, kwaterunkowe i mundurowe, kazano mi myć przed hangarem samoloty. Drugiego dnia wespół z kilku innymi podoficerami, którzy zameldowali się na kurs w międzyczasie, znów od świtu do południa demontowałem i dźwigałem po kawałku do hangaru dwie rozbite maszyny. Trzeciego dnia ładowaliśmy pogruchotane graty na platformy kolejowe. Czwartego dnia zaczął lać deszcze i lał cały dzień.

Wreszcie, gdy już straciłem połowę pychy z powodu mego przydziału i zacząłem tęsknić za dawnym życiem w eskadrze na froncie, wcielono mnie do grupy uczniów sierżanta sztabowego Gąsiora[1]).

Zacząłem latać. Zdaje mi się, że nie byłem asem, ale nie byłem także ostatnim tumenem, o czym usiłował mnie przekonać sierżant Gąsior. W każdym razie sceny, które rozgrywały się między nami w powietrzu i na ziemi utkwiły mi na zawsze w pamięci wraz z postacią mego instruktora, o którym dotąd nie wiem, czy był flegmatykiem pozującym na choleryka, czy też cholerykiem chcącym uchodzić za opanowanego Anglika.

Łączył w swoim postępowaniu z nami te dwie skrajne przeciwności, przerzucając się zupełnie nagle i niespodzianie od jednej do drugiej, tak, że nigdy nie było wiadomo jak z nim gadać i co go może wyprowadzić z równowagi.

Pochodził ze Śląska Cieszyńskiego i zdaje się, że Polakiem „został" dość przypadkowo, jedynie wskutek rozpadnięcia się c. k. monarchii. Nie wiem już zresztą, dlaczego nie został przy tej okazji Czechem, bo po czesku mówił równie kiepsko jak po polsku.

Pierwszy rozkaz jaki usłyszałem od niego przy okazji za oliwienia się świecy w silniku brzmiał:

— Panie einjäriger, proszę nadulić ferszalungi.

---

[1]) Historia ta jest zgodna z prawdą. Zmieniam tylko niektóre nazwiska, a między innymi nazwisko mego instruktora.

Nie zrozumiałem, czego ode mnie żąda, on zaś miał akurat fazę choleryczną, więc przechodząc od razu z „panie" na „ty" krzyknął:

Nadulić ferszalungi, mówiem! A jak mówiem, to powiadam. Ja ci nakopam z młotkiem do głowy, ty, einjäriger, sakrament noch einmal!

Dopiero później dowiedziałem się, że „nadulić" znaczy — zdjąć, „ferszalung" zaś — maska silnika.

Nazwisko pasowało do postaci mego instruktora jak ulał, jeśli tak można powiedzieć. Był niski, wąski w ramionach, szeroki w biodrach. Nogi miał krzywe, tak że gdy stał na „baczność" między kolanami zmieściłaby mu się tłusta gąska. Nos długi, zadarty, podobny do gęsiego dzioba a żywe czarne oczka umieszczone blisko siebie. Kręciły na wszystkie strony głową, osadzoną na długiej, chudej a rzadko mytej szyi z wydatną grdyką, która mu skakała w górę i w dół, gdy był poirytowany. Jego uśmiech stanowił coś pośredniego między pianiem koguta, a gęganiem gęsi. Palił fajkę krótką i bardzo cuchnącą i pykał z niej głośno, rozmawiając z nami w chwilach gdy był „Anglikiem". Kiedy zaś porywała go pasja, wyrywał tą fajkę spomiędzy żółtych zębów i wygrażał nam nią pod nosem.

Przy tym wszystkim nie był zły i nawet lubiliśmy go mimo dziwactw i częstych napadów irytacji, podczas których wymyślał nam bardzo wyrafinowanie i niezwykle.

Tych wymysłów i najdziwaczniejszych przekleństw miał nieprzebrany repertuar i był z tego bardzo dumny. (Nie mogę oczywiście dać ich próbki czytelnikom: żadna redakcja tego nie wydrukuje). Były to najbardziej robaczywe słowa, jakie słyszałem kiedykolwiek.

Nauka pilotażu na dwusterze w tych zamierzchłych czasach polegała wyłącznie na wykonywaniu okrążeń lotniska z instruktorem w drugim siedzeniu.

Instruktor milczał jak zaklęty, poprawiając ruchy ucznia sterem, lub wrzeszczał coś, czego nie można było zrozumieć. Awiofony wtedy jeszcze nie istniały.

Objaśnień na ziemi po locie udzielano skąpo i raczej mętnie. To też główną wiedzę o tym, co i jak trzeba robić ze sterami w locie czerpałem z rozmów z kolegami.

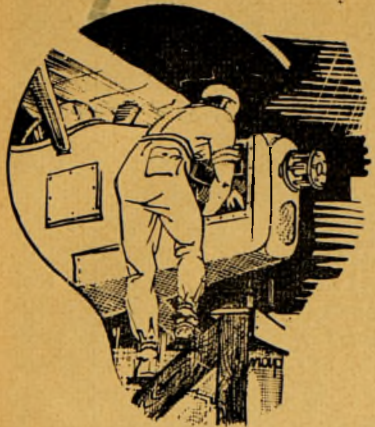
Były tam takie rabiny wszystko wiedzące, które miały swoje recepty na skręt, na utrzymanie maszyny w linii prostej i w równowadze, na zamknięcie gazu w odpowiednim miejscu, aby wylądować właściwie. Receptę można było nabywać za papierosy, za piwo, za zastępstwo w służbie.

Lotnisko krakowskie inaczej wtedy wyglądało niż dziś. Była to długa kiszka, ciągnąca się z zachodu na wschód. zamknięta od południa koszarami pułku ułanów i drewnianymi hangarami, od zachodu — kilkupiętrowym budynkiem szkoły Pijarów, od północy wzgórzami i szosą, wzdłuż szła linia telegraficzna. Tylko od wschodu szeroko otwierały się gromadzkie pastwiska i łąki rakowickie.



Start odbywał się w porządek tej kiszki wyłącznie w kierunku północnym, co było dość emocjonujące z uwagi na wspomniane już wzgórza.

Za mojej pamięci wybili sobie zęby właśnie na



tych wzgórzach podchorąży Kozanecki i kapral Bańka, zawadziwszy podwoziem o druty telegraficzne wskutek zepsucia się silników zaraz po starcie.

Jeśli wiatr był niepomyślny, nie latało się wcale. Zdarzało się to aż nazbyt często, więc do liczby 60 lotów dobrnąłem pod koniec sierpnia. Wtedy sierżant Gąsior stracił w stosunku do mnie cierpliwość.

— Latam z panem ostatni raz — oświadczył mi nagle któregoś popołudnia. — Wożam pana i wożam, a pan siedzisz jak dumme ding. No, już dringen! Start!

Przejąłem się tą przemową i postanowiłem działać.

Wystartowałem jako tako, minąłem szosę i słupy telegraficzne i na stu metrach pochyliłem maszynę do skrętu w prawo. Stary stukonny „Brandenburg" położył się na burcie, ale nie chciał skręcać, więc — jak mi radził jeden z „rabinów"— pociągnąłem ster na siebie. Wtedy przeklęte, narowiste bydlę zawinęło ogonem po niebie o 180 zamiast o 90 stopni.

Gąsior się wściekł. Usłyszałem jego krzyk za plecami i obejrzałem się. Tymczasem maszyna zadarła łeb w górę i zawisła na resztkach szybkości w powietrzu.

— Dringen! — ryczał instruktor.

Zwróciłem się szybko twarzą do silnika, który spazmował z wysiłku i pchnąłem ster w przód. „Brandenburg" zadarł kitę z wielką fantazją wycelował łeb w pole buraków i poszedł w dół.

Wtedy Gąsior nie wytrzymał i zdzielił mnie pięścią po karku. Zobaczyłem setkę rozpryskujących się gwiazd i komet. To niezwykłe zjawisko astronomiczne tak zaabsorbowało moją uwagę, że przestałem się orientować z której strony mam podejść do lądowania i zacząłem skręcać z wiatrem.

Tego jednak było już za wiele jak na cierpliwość mego instruktora. Zamknął gaz, szarpnął sterem, wyrywając mi go z rąk i rozpuścił wodze swojej osobliwej wymowy.

Pienił się. Słowa polskie, niemieckie i czeskie soczyste, cuchnące, twarde, grube, docierały do mnie mimo pędu poprzez wolny klekot silnika.

Używał sobie, ja zaś znosiłem to po stoicku, modląc się tylko w duchu, żeby skończył zanim podwozie samolotu zawadzi o głowy kapusty, na jakimś polu, do którego zbliżaliśmy się zdecydowanie i nieuchronnie.

Kapusta rosła mi w oczach; była tuż pod nami; stawała się groźna...

Nie mogłem już dłużej : dodałem gazu.

Myślałem, że Gąsiora rozsadzi.

— Hammerkopf! — ryknął. — Jak ja ci zrobię ubung, jak ja trzymam wykład, to nie rusz gaz! Dumme ding, rauss z kisty! Wysiadaj!

— Jakże ja teraz wysiadę? — ośmieliłem się zaprotestować.

— Rauss! — krzyczał przymykając gaz.

— Jakto? W powietrzu? — bąknąłem.

— Rauss! Do jarzyny! Skakaj! — powtarzał z uporem.

Cóż miałem robić? Rozpiąłem pas, wstałem i zacząłem gramolić się na burtę.

To go widać zreflektowało.

— Dokąd leziesz? — warknął. — Siadać! Siadać! Zaś landować. Achtung! Landować.

Usiadłem skwapliwie. Przed nami było lotnisko, do którego dociągaliśmy na niewielkim gazie.

Wziąłem stery. Wylądowałem. Dokołowaliśmy do startu.

Wiela ludzi już mnie chciało zabić, ale tak jak pan, to jeszcze żaden — oświadczył Gąsior z angielską flegmą.

Po tym pamiętnym locie postanowiłem kupić sobie francuski podręcznik nauki pilotażu (polskich oczywiście jeszcze wtedy nie było), aby przecież uniezależnić się od „recept" kolegów, które nic a nic nie pomagały.

— Po co pan to kupił? — zdziwił się mój instruktor.

— Żeby nauczyć się latać — odrzekłem.

—Schön. Niech pan także obstaluje sobie trumnę — poradził mi rzeczowo.

Nie obstalowałem trumny, ale nie przeczytałem również podręcznika, ponieważ nazajutrz wylaszowałem się i to mnie upewniło, że właściwie wszystko już umiem. Jakże daleki byłem od prawdy!

Mój pierwszy lot samodzielny nastąpił po siedemdziesiątym czwartym dwusterowym. (Taka ilość lotów z instruktorem stanowiła przeciętną porcję). Poprzedziła go jak zwykle przemowa Gąsiora.

— Ten ostatni start, to nie był w ogóle start — zaczął. — Start przechodzi grade aus. Jakby żmija przespacirowała się po takim starcie, toby złamała kręgosłup, nie? Zaś landung, to też nie był landung. I pan tak umie latać, jak ze mnie jest dziewczę z warkoczem. Verstanden? Ale ja pana nie bedem woził. Ja nie jestem fiakier. Leć pan sam. Zabij się pan.

Cóż? Poleciałem.

Duszę miałem na ramieniu, gdy maszyna oddzieliła się od ziemi i wielką dumę w sercu gdy udał mi się pierwszy skręt. Nie jestem pewien, czy nie krzyczałem z radości po wylądowaniu...

Potem, po kilkudziesięciu lotach samodzielnych, skręciłem pierwszą w życiu spiral z wysokości 1200 metrów. Miała półtorej zwitki...

Potem latałem dużo i dość szczęśliwie (na psa urok).

Wreszcie zostałem instruktorem. Byłem nim dziesięć lat. W Bydgoszczy, w Dęblinie, w Krakowie.

Wiele się przez te lata zmieniło. Ubogie polskie szkolnictwo lotnicze dorobiło się, wyszło z powijaków, zmężniało, stało się takim, jak dziś.

Rozszerzyły się lotniska, dźwignęły się wielkie żelbetonowe hangary. Wyszkolili się dobrzy instruktorzy. Narodził się, urósł i zakwit Dęblin — wspaniałe centrum szkolne, jakiego mogą nam pozazdrościć pierwsze potęgi lotnicze Europy.

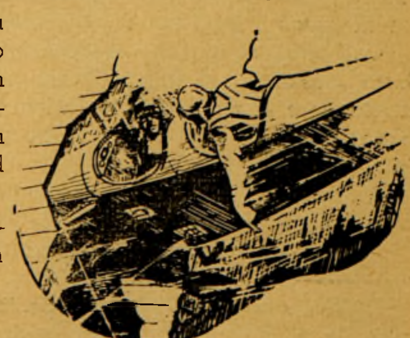
Może tylko „recepty" na skręty, lądowania i starty są dziś jeszcze przedmiotem handlu między uczniami. (Mnie przynajmniej dotąd nie udało się tego wyplenić w pułkowej szkole pilotów). Zdaje się, że tak już będzie zawsze — po staremu.

Reszta jest inna: nowa, solidna, obszerna, piękna.

Ale zaczęliśmy od długiej kiszki krakowskiego lotniska, od drewnianych hangarów, od stukonnych, dychawicznych „Brandeburgów" i od Gąsiorów.

I dlatego to wspomnienie budzi w nas czasem sentyment.

Juliusz Meissner.





EWA jest NIEOCENIONA!

Ewa Krzewińska i Zosia Rajczakówna szły ulicą we wrześniowe popołudnie, obładowane paczkami z księgarni. — Nowe książki, początek roku szkolnego! To daje dreszczyk emocji — nie wiadomo, co ten nowy rok przyniesie, a przecież dla Ewy i Zosi to już ostatni rok szkoły, ostatni rok dzieciństwa.

— Wstąp Zocha do mnie — zapraszała Ewa — obejrzymy podręczniki, pogadamy sobie trochę.

— Dobrze, ale musisz mi zdradzić pewną tajemnicę...

— Tajemnicę?

Gdy były już u Ewy w mieszkaniu, a paczki z książkami leżały przed nimi rozpakowane, Zosia zaczęła:

— Słuchaj Ewa, otóż ta tajemnica to jest prośba, abyś mi pokazała rozkład zajęć tygodniowych, który kiedyś ułożyłaś sobie wespół z matką. Wiem, że starcza Ci na wszystko czasu: i na zabawy, i na przyjemności i na pracę — pokaż mi ten rozkład, chcę sobie coś takiego dla siebie ułożyć!

— Ależ chętnie, Zocha! I okropnie się cieszę, że zaczynasz oszczędzać czas. Dotąd marnowałaś go, jak utracjusz. A wiesz, że ten amerykański system planowania wszystkiego — to jest mądra rzecz!

Ewa wyciągnęła z szuflady zeszłoroczny kalendarz i przysiadła się do Zosi.

— No, więc to jest właśnie ta tajemnica. Na odrabianie lekcyj poświęcam dwie do trzech godzin dziennie, ale zawsze o tej samej porze między czwartą a szóstą; gdy mam więcej do roboty — to siedzę do siódmej. W międzyczasie zjadam podwieczorek...

— A jeżeli Ci wypadnie w tych godzinach coś innego?

— Otóż — nie może nic wypaść. Ostatecznie, gdy siedzimy rano w szkole, to też nie może nam wtedy wypaść coś innego, prawda? A jeśli się coś zdarzy raz na jakiś czas — to jest wyjątek i zaraz następnego dnia wszystko wraca do normy.

— Poddaję się, poddaję, moja ty pedantko!

— Tak, a teraz z równą pedanterią wyznaczam sobie dwa dni w tygodniu, środy i soboty, na przyjemności.

— A wtedy odrabianie lekcyj?

— W te dwa dni staram się lekcje wcześniej zacząć i żadnych wypracowań, które wymagają wiele czasu, nie robię. Kończę pracę o szóstej i od szóstej myślę tylko o przyjemnościach. Mogę więc iść do kina, na zawody sportowe, gdy ciepło — na przystań, albo pływalnię, z jakąś miłą wizytą do koleżanki — jednym słowem przyjemność tylko i wyłącznie.

— A niedziela?

— Niedziela — to co innego. Rano kościół i spacer, wycieczka za miasto, albo zwiedzanie wystaw, zależnie od pogody. Wieczorem zawsze jestem z rodziną. Tatuś nie pracuje, więc siedzę w domu, albo z rodzicami poza domem spędzam czas.

— A co ty robisz, Ewa, w powszednie dni, nie w środy i soboty, gdy już odrobisz lekcję?

— Przede wszystkim czytam książki. Przecież cała lektura obowiązkowa i dowolna! W tym roku specjalnie dużo mamy do czytania. Prus, Żeromski, Orzeszkowa, Conrad — przecież to kopalnia powieści, więc czytam do wieczora, przed kolacją idę z psem na spacer, a o dziesiątej — spać.

— Rzeczywiście wzorowy porządek masz w układzie dnia. Postaram się ułożyć tak i swoje zajęcia.

— Czekaj, Zocha, to nie wszystko! Piątek wieczór przeznaczony jest na szycie, reperacje, mycie głowy — jednym słowem na doprowadzanie do porządku możliwego mojej niemożliwej osoby i wyręczenia matki w podobnych sprawach.

— Ewa, a zebrania w szkole i inne rzeczy, które muszą Cię przecież wyciągać z domu w powszednie dni...

— Oczywiście, ale to też musi mieć swoje miejsce. Przesuwam wtedy zajęcia o godzinę, idę na zebranie, natychmiast wracam i biorę się do pracy.

— Czy ty w takim pokratkowanym dniu nie czujesz się źle? A gdzie miejsce na fantazję, na przygodę?

— Widzisz, Zosiu, tylko dlatego, że mam unormowane życie — mam czas na pracę i na przyjemność, chodzę obszyta i względnie porządnie wyglądająca. A przygoda, niespodzianka! Toż żeby sobie człowiek niewiem jak pokratkował życie, przygoda zawsze się wedrze...

— Ewa, ja zawsze muszę przyznać ci rację. Wiesz, spróbuję sobie ułożyć życie, jak ty, przez miesiąc i zobaczę, czy mi to będzie dogadzać.

— Sprobuj, a za miesiąc spytam się, jak ci idzie.

— Ewa, dziś ja jestem u ciebie, jaki dziś dzień?

— No, widzisz, środa, przeznaczona na przyjemność — a czy nie przyjemnie ci ze mną troszkę pogwarzyć?

Przyjaciółki uśmiechnęły się, ucałowały serdecznie i wkrótce już potem Zosia opuściła dom Ewy.

Joanna Podlodowska

KAJA ŻENIA WITKOWSKA

NIEDZIELA

Niedziela — taka sobie zwyczajna niedziela,
Może ma blaski słońca, może deszczu strugi,
Jednak swą obecnością dusze rozwesela,
Tym dla których tydzień wydaje się zbyt długim.
Niedziela ta rozjaśnia ich ścieżki tułacze,

I tego „dnia siódmego" im więcej trzeba,
Na myśl o nim już lżejsza staje się robota
I dzień ten szare życie dzieli na okresy,
Jednakże po przez trudy i męki żywota,
Wszyscy do wiekuistej zdążamy „niedzieli".

ECHA Poobozowe

WSPOMNIENIA Z OBOZU P. W. K. W GARCZYNIE

Okres wytężonej pracy... egzaminy... wyjazd... podróż z przygodami — i oto stoję na środku ogromnej polany garczyńskiej i pochłaniam jej widok stęsknionymi oczami mieszczucha. Zielony prostokąt polany, przyprószony fiołkowo - brunatnym nalotem macierzanki i wrzosu, ujęty jest w ciemną ramv lasu. W głębi bieleje dwa szeregi domków obozowych. W dole, z za drzew, przebłyskuje niebieska i srebrna fala jeziora. Czuje przypływ radości na myśl o tym, że po całych dniach będę mogła wśród tego piękna przebywać. Jednocześnie wszystkie, gnębiące mnie dotychczas wątpliwości, pryskają bez śladu. Czy dam sobie radę z obozowym życiem? Czy nie będę się czuła samotna i obca wśród kilkuset nieznanych mi dziewcząt? Nie — garczyńska polana wychowała już takie zastępy instruktorek PWK, widziała tyle razy, jak w ciągu kilku tygodni gromady obcych sobie uczestniczek przekształcały się w serdecznie zżyte zespoły — musi i nam być tutaj dobrze!

I było nam dobrze, począwszy od pierwszych dni, kiedy poznałyśmy się przy obijaniu domków płótnem, przy noszeniu desek, zbijaniu prycz, pierwszych służbach, gdy początkowa sztywność i „godność" ustępowały miejsca serdeczności i rozbawieniu. Spośród kilkuset obcych twarzy znajdowało się kilka... kilkanaście... kilkadziesiąt, które stawały się znane i bliskie. Po obozie przyrzekłam sobie: nie będę się już nigdy obawiała uczucia obcości na obozie. I niech się go nikt nie obawia, bo jeśli przychodzi nawet z początku, ustępuje szybko, a urok koleżeńskiego współżycia, które sprawiło, że po kilku tygodniach rozstawałyśmy się, jako ludzie sobie bliscy, jest doprawdy bardzo wielki.

Życie obozowe zostało ujęte w zwykłe ramy. Dni potoczyły się szybko, tym szybciej, im bardziej były wypełnione zajęciami. Od czasu do czasu przychodziły „wielkie zdarzenia" alarmów i inspekcji. Najbardziej utkwił mi w pamięci „tradycyjny" alarm, który odbył się w dniu (a raczej w noc) imienin Komendantki. Polana zalana księżycowym światłem. Pod masztem, jedna za drugą, w zupełnym milczeniu ustawiają się kompanie. Krótkie słowa komendy — ruszamy na marsz. W szeregach cisza. Gdyby nie długi, ciemny wąż postaci, posuwających się wśród drzew, nie wierzyłabym, że cały obóz, a więc kilkaset osób, idzie przede mną. Okrążywszy partię lasu, wracamy brzegiem jeziora do obozu, oczarowane pięknem nocy. Na środku polany płonie ogromne ognisko, snopy iskier, płomienne i gorące, tryskają w niebo. Światło księżyca wydaje się nagle dziwnie martwe i zimne... skupiamy się wkoło ognia. Rozbrzmiewają krótkie słowa Komendantki. Przeżywamy wszystkie moment zupełnego ideowego zjednoczenia... potęguje to jeszcze myśl, że na wszystkich obozach naszej organizacji dzieje się w tej chwili to samo.

A któż nie pamięta chwil „obozowej wesołości"? Przeżywa się je często, z najbłachszego nieraz powodu. Najczęściej przy ognisku, gdy wszystkie kłopoty, obawy przed egzaminami idą w niepamięć, a dowcipnie zainscenizowana piosenka lub kilka wesołych uwag o obozowym życiu wystarczy, by wywołać burzę niepohamowanego śmiechu. Ileż wesołości dostarczył nam choćby poczciwy „ułan na widecie", schylający się ku swej dziewczynie z konia o pysku z maski gazowej! Dzienna „racja śmiechu" jest przecież nieomal równie ważna, jak racja jedzenia lub snu. Toteż — w imię tej zasady — śmiałyśmy się często, a serdecznie.

W dole było jezioro — cudne, coraz to inne, podziwiane przy porannym i wieczornym myciu, pochłaniane oczami w czasie prozaicznego zajęcia odskrobywania kaszy z menażek, spokojne i niebieskie w blasku południowego słońca, tonące w zatopianym złocie i migocące wszystkimi barwami ku zachodowi, obmywające chłodnym dotknięciem rozgrzane upałem ciała, najpiękniejsze z widzianych jezior.

Dobrze nam nad nim było...

JUNACKIE HUFCE PRACY



Nasi koledzy — maturzyści dzielą się z nami wrażeniami z obozów w Junackich Hufcach Pracy. Posłuchajmy urywków trzech ciekawych głosów.

Kolega Zbigniew B. Czarnecki z Bydgoszczy mówi o możliwości i konieczności współżycia i współpracy junaka maturzysty z innymi junakami bez cenzusu:

„U bram obozu pracy spotkałem chłopca w mundurze, spotkałem junaka bez cenzusu.

Przywitałeś mię chlebem i solą. Spojrzeliśmy na siebie — ale było coś między nami, co nam przeszkadzało, było pewne jakby, onieśmielenie. Potem chwyciliśmy za taczki... ty i ja".

Praca złączyła ich, porozumieli się bez słów:

„I zrozumieliśmy, żeśmy bracia, żeśmy zawarli wieczny sojusz pracy, że wspólny jest nasz wielki cel: wydźwignąć Polskę wysoko. I z dumą spoglądaliśmy na owoc naszej pracy".

Wspólne rozmowy, wzajemna pomoc w pracy fizycznej, czy znowóż praca uświadamiająca przez kolegę Czarneckie-

go, dały rezultat niekłamanej przyjaźni. I tak oto kończy swe wrażenia z obozu:

„My dzisiejsi maturzyści, obejmiemy z czasem stanowiska kierownicze w życiu polskim, nawet najwyższe, lecz będziemy zawsze pamiętać, żeś ty nasz brat i współpracownik. Wzięliśmy w serca i głowy to hasło junackie: wysiłek i praca — nasz cel i obowiązek. Będziemy przy tobie myślą, sercem i czynem. Pracą mózgu i mięśni postawimy, ty i ja, Polskę na piedestale największych potęg świata."

Kolega Romaniuk z Warszawy w formie pewnej odezwy do wszystkich kolegów maturzystów obecnych i przyszłych, a więc do nas wszystkich, mówi o konieczności zatarcia różnic między wsią a miastem.

„W Polsce zapóźniony rozwój stosunków stworzył głęboki rozdział między wsią a miastem. Żywioł wiejski i inteligencję miejską dzieli jeszcze mnóstwo różnic pojęciowych i ideowych. Różnice te pogłębia współzawodnictwo wsi i miasta w dziedzinie gospodarczej. Jest to wielkie niebezpieczeństwo dla naszej wartości obronnej. Przeciwieństwa wewnętrzne bardziej są niebezpieczne od groźby naporu wojennego z zewnątrz.

Stąd jednym z najważniejszych zagadnień odrodzonej Polski jest jak najszybsze wyrównanie przeciwieństw społecznych.



Do dzieła tego przyczynić się mogą Junackie Hufce Pracy. Wcielając maturzystów do swych szeregów, zmierzają do zetknięcia młodej inteligencji z przedstawicielami wsi polskiej. Dzieło wielkie.

Od was maturzyści zależy, czy dzieło to uwieńczy się całkowitym sukcesem. **W twardym trudzie życia junackiego musicie znaleźć wspólną mowę, wspólne cele.**

Powzięta myśl zespolenia powinna być przekuta w rzeczywistości. Polska żąda od was pierwszego czynu obywatelskiego, pierwszej **próby waszego wyrobienia społecznego. Będzie to egzamin waszych charakterów, waszej wartości,** jako **obywateli Państwa Polskiego.** Musicie podać swym braciom ze wsi ramię do wspólnej pracy, zbratać dążenia i czyny ku jednej rzeczywistości, której na imię: wielkość Polski".

Kolega Spora z Chorzowa, któremu ciążyły początkowo: obowiązek, praca, dyscyplina i karność — mówi o celowości i konieczności przebycia tej początkowej szkoły praktycznego życia. Humor i radość winny i muszą towarzyszyć zbiorowemu życiu w JHP, gdzie tworzy się nowe życie.

*

Wypowiedzi naszych kolegów są dla nas zachętą do życia, którego kiedyś popróbujemy. Z lękiem i miłą radością równocześnie oczekiwać będziemy pomaturalnych wakacji.

KADRÓWKA MŁODYCH POLAKÓW Z ZAGRANICY

OBÓZ U STÓP TATR

Polskość nie kończy się na liniach słupów granicznych. Gdziekolwiek rozbrzmiewa mowa polska, gdziekolwiek bije serce polskie — tam żyje cząsteczka Polski. Jest niewidoma, tajemna a niezwyciężona moc, która wiele milionów Polaków wiąże w jedną wspólnotę. Mocą tą — **miłość** do wspólnej, jedynej Ojczyzny — Polski.

Obszar państwa polskiego opasuje granica długości 5.534 km. Poza kordonem tym mieszka ponad osiem milionów naszych sióstr i braci. Znaleźli się po tamtej stronie choć całym sercem pragnęli żyć w ramach państwowości polskiej. Ta ludność polska jest autochtoniczna, to znaczy osiadła na tamtych ziemiach od niepamiętnych czasów.

Nie łatwo być Polakiem na obczyźnie. Są bowiem państwa, które dążą do wynarodowienia ludności polskiej. Do walki przeciwko temu w pierwszej bojowej linii stanęła dziś młodzież.

By gruntownie przygotować tę młodzież do walki o swe prawa narodowe **Światowy Związek Polaków z Zagranicy** organizuje w Polsce obozy wypoczynkowe. Akcja ta od ubiegłego roku została skoncentrowana we własnym ośrodku wychowawczym, w znanej już poza granicami kraju: **„Kadrówce Młodych Polaków z Zagranicy".**

W samym sercu Tatr w Kościelisku, u stóp Giewontu i Czerwonych Wierchów, w malowniczej panoramie turni i regli wznoszą się przepiękne w czystym stylu podhalańskim zbudowane budynki Ośrodka. Zjeżdżają tu z najodleglejszych zakątków kuli ziemskiej młodzi Polacy, by zorganizować się, zahartować i jak Pierwsza Kadrowa z Oleandrów wyszła w bój o Niepodległą Polskę, tak oni co roku mają wychodzić z „Kadrówki", by nieść imię Polski po szerokim świecie.

Życie w ośrodku jest urozmaicone, żywe i interesujące. Wypełniają je pogadanki, lekcje języka polskiego, nauka śpiewów i tańców ludowych, czytanie książek z biblioteki Ośrodka, ćwiczenie sportowe, wycieczki po górach, ogniska, a w razie niepogody wieczory świetlicowe.

Młodzi Polacy z zagranicy uważają „Kadrówkę" za swą własność. Tworzą tu wielką, składającą się z 300 osób rodzinę. Wszyscy czują się dziećmi jednej Matki. Przy jednym ognisku patrzą na siebie jak bracia i siostry choć żyją zdala od siebie, na odległych terenach Europy, Afryki, Azji i Ameryki. Poznają tu Polskę, Jej kulturę, historię, literaturę, sztukę, — poznają Jej bogactwa naturalne i strukturę gospodarczą. Podczas pogadanek opowiadają o warunkach w jakich żyją w różnych krajach, opowiadają o swych troskach i radościach, o swych klęskach i zwycięstwach. Tu wykuwa się światopogląd i ideologia młodego Polaka z Zagranicy. Tu ustala się metody polskiej pracy organizacyjnej za granicą. Stąd wyjdą pionierzy, którzy rozniosą po świecie polskość w najdoskonalszym i najszlachetniejszym zrozumieniu.





Wspomnienie z pobytu na obozie „Beskid" Polskiej YMCA w Mszanie Dolnej.

Przyjechał, auto zostawił na dole w stodole góralskiej, wdrapał się na szczyt Lubogoszczy i stanął w obozie, jako gość oficjalny.

Kierownictwo dało mu pokój w gościnnym domku z oknem wychodzącym na chatkę, zamieszkałą przez najmłodszych obozowców i zapowiedziało wisusom, że pan minister jako człowiek starszy, lubi ciszę, więc żadnych hałasów po obiedzie i żadnych psich figlów.

Cicho? Ale niby to tak łatwo, jak się ma 13 lat...

Kierownictwo chciało samo oprowadzać pana ministra po obozie, tłumaczyć. Ale on złapał za ucho małego blondasa i pyta:

— Jak ci na imię?

— Marian!

— To może panowie pozwolą, że Marian mnie oprowadzi!

Cóż było robić? Największy wisus w obozie, ale wola gościa musiała być uszanowana.

— No i cóż ty mi powiesz, przyjacielu...

Marian zaczerwienił się po białka oczu.

— Najpierw, proszę pana, chatki; tu śpimy, ale nasza najładniejsza proszę pana, wczoraj była sobota i podłoga jest wyszorowana szarym mydłem i z butami nie wolno wchodzić... Każda chata robi sobie ozdoby — my mamy samolot. O, proszę pana, tu ułożone z kamieni skrzydła, a kadłub z drzewa zrobiony — to taki śmieszny klombik bez kwiatów!

— A ten smoczek na co, przecież chyba już żaden obozowiec smoczka nie ssie — spytał, śmiejąc się, minister i zdjął ze ściany chatki smoczek, zawieszony na różowej wstążeczce.

— To tylko głupie żarty — my jesteśmy najmłodsi, to ci starsi przysyłają nam smoczek. Ale to przecież wcale nawet nie jest wesołe, prawda?

Pan minister wyjął chusteczkę i zasłonił sobie usta, zakasłał dziwnie. Marian spojrzał w górę — czyżby się śmiał? Ale gdzie tam! Pan minister z poważną miną oglądał obóz i słuchał wyjaśnień.

Ruszyli w kierunku basenu. Właśnie była kąpiel i chłopcy biegli w spodenkach kąpielowych na pływanie.

— Ale źle pan trafił!

— No, dlaczego?

— Bo dziś nie ma deseru! Wczoraj kucharzowi wypuścili z klatki jego ulubione gołębie, kucharz się rozłościł i za karę nie ma dziś deseru...

— Uuu! To rzeczywiście fatalnie trafiłem — ale może te gołębie wrócą jeszcze do obiadu. A ta góra, to też Lubogoszcz? — pytał się minister.

— To niby Lubogoszcz, ale my nazywamy ją — Łacina. Wie Pan, przed paru laty jeden chłopiec miał dwóję z łaciny i ojciec go nie puścił na obóz — to on przyjechał na gapę i został w obozie, ale kierownictwo za karę kazało mu uczyć się dziennie 2 godziny łaciny. No i on uczył się na tej górze i stąd „Łacina".

— Ha — ha — ha! a to świetna nazwa — Łacina! Ale ten ojciec nie był dobry?

— Taki ojciec? Nie chciałbym mieć takiego ojca. Macocha, nie ojciec.

Pan minister czuł się świetnie. Wieczorne ognisko odbywało się na Wzgórzu Charakteru.

Wzgórze to, wznoszące się o 200 m. nad Rabką i osiedlami ludzkimi dawało cudną o zachodzie słońca panoramę na okolicę i na zamglone w dali Tatry. Chłopcy skupili się dokoła ogniska i śpiewali, przedstawiali śmieszne rzeczy i słuchali gawędy.

Gawęda była o miłości do rodziców. Mówił kierownik — aż tu Marian jak Filip z konopi, wyskoczył z pytaniem:

— A panie kierowniku! A jak ojciec nie puszcza na obóz za dwóję z łaciny, jak ten sprzed paru lat — to co?

Kierownik długo musiał tłumaczyć Marianowi, że ten ojciec też był dobry, tylko chciał słusznie ukarać chłopca.

Pan minister spytał się:

— Marian, a ty z łaciny ile masz?

— E, ja to bardzo dobrze.

— No to mógłbyś być moim synem, ja lubię łacinę.

Przed snem Marian ostrzegł swego dorosłego przyjaciela, żeby uważać, bo to różne wisusy lubią w nocy na maszt wciągać różne rzeczy, więc trzeba się pilnować. Ale pan minister miał jeszcze poważne rozmowy z kierownictwem i poszedł późno spać.

Rano zbudził go głos pobudki. Wyjrzał przez okno — jego żółte kamasze wisiały wysoko na maszcie, a rój mikrusów z Marianem na czele, robił im wyjąc owacje. Gość uśmiał się serdecznie, ale buty musiał wykupić tabliczką czekolady z kantyny.

Życie obozowe poszło normalnym torem. Młode głosy intonowały „Kiedy ranne", a sztandar biało-czerwony szedł w górę ponad świerki. Po śniadaniu chłopcy wzięli się do prac obozowych, a pan minister żegnał się z kierownictwem, opuszczając obóz.

Dowidzenia panom, jadę jeszcze zwiedzić oba wasze obozy: Nad Pilicą i w Kaszubskiej Szwajcarii. A małemu Marianowi proszę powiedzieć, że tym okropnym ojcem, to ja właśnie byłem! He — he — he!

— Panie ministrze — nam przykro i przepraszamy za Mariana...

— Co pan ma przepraszać — miał chłopak rację; niech pan nie przeprasza... Wyjeżdżam z żalem, a przez te dwa dni wśród was ubyło mi z mojej starości parę lat. Czuję się młodszy i nie mała zasługa w tym Mariana...

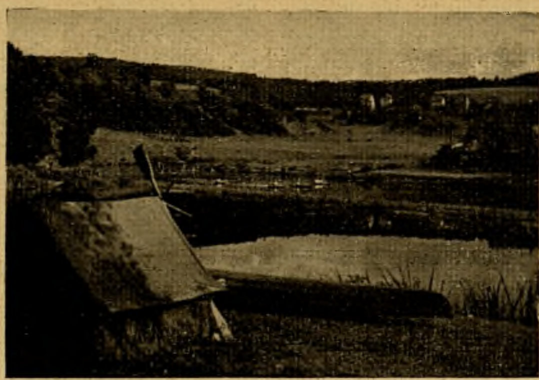
IMCIARZ



„Pucybut obozowy"

MIŁO I POŻYTECZNIE...

(Wrażenia z urządzanego w Jastarni obozu - kursu Tow. Tomasza Zana).



Szesnaście dziewczynek przyjechało do Jastarni. Każda posiadała doskonale wypchaną walizkę, fizjognomię, którą najzupełniej wiernie określa indyjska nazwa „Blada Twarz", a w sercu ideał życia obozowego i przestrogi dane jej na drogę. Na razie łączyły nas chyba te „Blade Twarze".

Zaraz po przyjeździe uraczono nas obfitym i zdrowym śniadaniem (chleb z masłem i mleko), potem odczytano nam program życia obozowego i mimo, że w programie była też praca samokształceniowa, rozpogodziłyśmy się. Może to słońce silniej zagrzało, może kojący podmuch wiatru z nad zatoki wygładził nasze czoła, że uśmiechnęłyśmy się przelotnie doznawszy dziwnego wrażenia, że „byczo będzie". Tylko na wiadomość o poobiedniej ciszy, skrzywiłyśmy się z grymasem, którego wiatr nie zdołał w porę usunąć.

Pierwsze trzy dni były najgorsze. Wydłużały się w nieskończoność. Herbata pachniała „siarkowodorem", a prycze w barakach miały sienniki niemożliwie twarde, przy czym w miejscu gdzie kładzie się głowę, zazwyczaj była dziura, na której, zapchawszy ją poduszką, z biedą można było spać.



Jednak we wszystkim zachodziły zmiany. Przyzwyczaiłyśmy się do spania i jedzenia. Apetety wzrastały, „Blade Twarze" zmieniały się na czerwone lub brązowe, ryku krowy nie mieszano już z odgłosem syreny. (To ostatnie jest przytykiem w stronę moich niektórych koleżanek).

Jeśli chodzi o pracę samokształceniową, to polegała ona na odczytywaniu opracowanych własnoręcznie referatów. Tematy były ciekawe i niejedną z nas zainteresowały. Wiele zagadnień, wiele nieznanych spraw stanęło przed nami otworem. Bo młodzież dzisiejsza niekoniecznie mu si być bezmyślna, niekoniecznie nie przeszedłszy wojennego przeszkolenia musi być obojętna na sprawy obywatelskie i społeczne. Trzeba tylko wzbudzić w niej zainteresowania, nie zniżając się do niej z góry, lecz wychodząc jej naprzeciw.

Postanowiłyśmy prowadzić dalej pracę samokształceniową, oraz współpracować z „Młodym „Nurtem". W czasie dyskusji na temat kwestii ukraińskiej, wysunięto projekt urządzenia w czasie przyszłych wakacji obozu wędrownego na Kresach Wschodnich. Chodzi o zapoznanie się z środowiskiem kresowym i zbliżeniem się doń.

Płynęły więc pogodne dni wśród pracy i wypoczynku. Niejedna z nas siadała czasem nad morzem i dumała. Nie trzeba mieć wcale romantycznej duszy, by dumać nad morzem, nad polskim morzem. Fale płyną i płyną, aż oczy bolą od patrzenia. Morze miewa zazwyczaj określenia: wielkie, niezmierne i potężne. Nie ma w tym patosu. Morze jest takie, jak o nim mówią.

Marzycielskie, że tak powiem, nadmorskie nastroje rozproszyło ognisko. Śpiewałyśmy, śmiałyśmy się razem. Zdaje mi się, że w każdej budził się wtedy człowieczy duch gromadzki, starając się dać z siebie coś, by wszystkim było najweselej. Po co opisywać co jeszcze było. Obóz—to jakby mała, wierna odbitka życia. I tu i tam raz jest lepiej, raz gorzej. Nam jednak w obozie było raczej lepiej.

Zwiedziłyśmy okolicę, poznałyśmy port gdyński, w Kuźnicy zbierałyśmy składki na kolonie dla dzieci polskich z Niemiec.

Kaszubi bardzo chętnie składali datki na ten cel. Odczuwałyśmy pewien rodzaj dumy, że wszędzie spotyka się lud polski świadomy i chętny do pracy. I tu i wszędzie. Trzeba tylko ten lud poznać, by się o tym przekonać.

Szybko mijały ostatnie dni obozu. Nawet herbata z słodkiej wody z półwyspu, przedtem dziwny posiadająca smak, stała się znośniejsza. Prycze w barakach stały się dziwnie miękkie. A piasek nadmorski wydawał się bardziej ciepły, czysty i miałki. Mówią, że to złudzenie. Ale prawdą jest to, że żal nam było morza.

Al. Grzesikówna

MAŁA KOBIETKA



Któż jej nie zna? Kto nie uśmiechnie się do pogodnej twarzyczki młodziutkiej Deann.

Deann ma lat szesnaście, jest w wieku naszych dziewcząt, w wieku szkolnym, a wdziękiem swym podbiła już świat.

Gdy jeszcze nie była sławną artystką filmową, była słowikiem w swej szkole.

Jej srebrny głosik wyróżniał ją na lekcjach śpiewu, a szczęśliwy pomysł nauczycielki zachęcił ojca Deann do przyjęcia nauczyciela śpiewu.

Odtąd zaczyna się dla małej okres sławy ale jednocześnie okres ciężkiej pracy.

W Ameryce ludzie zawsze szukają możliwości zarobku, stale oglądają się co by tu można zamienić na brzęczące dolary.

Właśnie w owym czasie słynny ze swej brzydoty komik amerykański Eddie Cantor organizował chór młodych dziewcząt na swoją godzinę w radio.

Deann została zaangażowana jako jedna z chórzystek. I pewnego dnia jej czysty młodzieńczy głos popłynął na falach eteru.

Ameryka jest młoda, potrafi entuzjazmować się, lubi wynajdywać sobie faworytów. Tym razem los szczęścia padł na Deann.

Kto, co, skąd? zaczęły sypać się pytania. Chcemy widzieć tę artystkę.

Słyszeć to mało, chcemy ją zobaczyć!

Eddie Cantor jest dobrym bussinestiamem — czując w talencie młodej Deann wielką przyszłość zaofiarował jej rodzicom układ tego rodzaju, że wprowadzi Deann do filmu jako jej menażer, ale jedna trzecia jej dochodów przypadnie jemu w udziele.



Odtąd Deann Durbin stała się sławną gwiazdą — jej filmy są wyczekiwane nie tylko przez Amerykę, ale przez wszystkich młodych i starych widzów całego świata.

Była Penny.

Była „Pensjonarką".

W „Ich stu i ona jedna" szukała pracy dla swego biednego ojca dodawała otuchy i nadziei bezrobotnym całego świata.

Jest gwiazdką ekranów i promiennym uśmiechem dla widzów, a wzorem wdzięku i naturalności dla swych rówieśniczek.

WIELKA NIEWIADOMA

Prasa codzień donosi o nowych szczegółach lotu stratosferycznego. To co parę miesięcy temu było jeszcze projektem, dziś weszło w fazę końcową, w fazę przygotowań do samego startu. Stratostat „Gwiazda Polski" i jego załoga oczekuje w Dolinie Chochołowskiej pomyślnych warunków atmosferycznych, by wzbić się na wysokość 22,066 plus wielka niewiadoma X.

Owe X kryje w sobie możliwości wydarcia nowych tajemnic naturze, rozwikłania zagadki promieni kosmicznych i pobicia rekordu światowego...

A teraz trochę szczegółów i danych cyfrowych o stratostarcie:

Wysokośc jego wynosi 120 m., co równa się mniej więcej wysokości kamienicy 32 piętrowej. Gondola w kształcie kulistym składa się ze stalowej konstrukcji nośnej, na której oparty jest płaszcz uszczelniający. Do wnętrza oświetlonego kilkoma iluminatorami (okienka) prowadzą trzy włazy, dwa górne i jeden dolny. Urządzenie do wyrzucania balastu jest umieszczone na zewnątrz. Wszystkie przyrządy naukowe i techniczne mieszczą się w środku gondoli. Całość jest podtrzymywana przez sprzęt linowy, umocowany do pasa na powłoce balonu. Sama powłoka balonowa, wyrabiana w stacji doświadczalnej jedwabniczej w Milanówku z włókien sprowadzonych z Japonii, jest najlżejszą powłoką balonową na świecie. Ogółem zostało zużyte 14,000 m^2 materiału, który składa się z 40 pasów, każdy długości 111 m. Każdy pas zszyty jest z kawałków i w tym celu trzeba było w sumie wykonać 30 km. szwów pojedyczych i 15 km. szwów podwójnych. O wytrzymałości tkaniny świadczy fakt, że jest ona ustalona — 1000 kg. na 1 m^2.

Powłoka zostanie wypełniona przez 4 tysiące m^3 wodoru, który na pewnej wysokości pod wpływem zmniejszonego ciśnienia zapełni całą pojemność balonu wynoszącą 124 tysiące m^3.

Koszt całej wyprawy obliczony jest na około 400 tys. zł. Ma on być pokryty wpływami z całego szeregu źródeł. A więc ze sprzedaży znaczków pocztowych kierownictwo imprezy spodziewa się osiągnąć 100 tys. zł., z poczty stratosferycznej 20 tys., z Ameryki 30 tys., z biletów wstępu 100 tys., wreszcie z ofiar przemysłu i handlu około 150 tys. zł.

Jakie są cele tej imprezy: — pobicie rekordu, który należy do przybyłego w tych dniach z Ameryki mjr. Stevensa i wynosi owe 22,066 m. Udany lot będzie doskonałą propagandą polskiego lotnictwa, zresztą już teraz prasa całego świata szeroko rozpisuje się na temat Polski i przygotowań do lotu.

Cel trzeci dotyczy strony naukowej. Polski świat naukowy posiada w swym dorobku cały szereg zapoczątkowanych badań nad poznaniem klimatu stratosfery; najwięcej frapującymi opinię zarówno ludzi nauki jak i laików są zagadnienia promieni kosmicznych, przedstawiających dotychczas zagadkę tak dla nauki jak i techniki.

Loty samolotami stratosferycznymi są również ośrodkiem zainteresowania naszych uczonych. Samolot będąc niewidzialny w stratosferze i niedościgły dla pocisków, ma możliwości osiągnięcia olbrzymiej szybkości, bo aż 1000 km. na godzinę. W czasie pokoju może stać się środkiem lokomocyjnym, w razie wojny niebezpieczną bronią...

Tyle obecnie na temat stratosfery. Co nas czeka za kilkanaście dni, jakie rewelacje, czy też jakie rozczarowania — pokaże przyszłość i te X metrów więcej, dzięki której nasza ekipa może wejść w krąg — **wielkiej niewiadomej.**

Ewa Runge.

„DNI POLESIA"



Zorganizowane staraniem „Towarzystwa Rozwoju Ziem Wschodnych", „Dni Polesia" (15. VIII — 4. IX) dały możność szerokim rzeszom turystów zapoznania się zarówno z folklorem Polesia jak i warunkami gospodarczymi.

Tereny wystawowe położone nad rzeką Piną z widokiem na charakterystyczny krajobraz poleski szmaragdowo - zielony, poprzecinany rozgałęziającymi się korytami strumieni, dały turyście odrazu właściwe pojęcie o oryginalności warunków przyrodniczych Polesia. Rzut oka na Wystawę pokazał zaś, co człowiek, jego praca i kultura może wprowadzić w te pierwotne warunki.

Najważniejsze pawilony wystawowe to nowozbudowany Pawilon Łowiecki, Dworek Rolniczy, Pawilon Rzemiosła, Pawilon Przemysłu, Pawilon Rybacki z basenami, w którym pływają żywe ryby poleskie.

W Dworku Rolniczym pokazane były działy melioracji łąk, uprawa roli i hodowla bydła, uprawa lnu oraz bogato reprezentowany dział gospodarstwa i wytwórczości Kół Gospodyń Wiejskich. Tu znajdowały się doskonałe płótna samodziałowe, tkaniny barwne, prześliczne hafty poleskie, zastosowane do ubioru, obrusów, ręczników i dekoracji wnętrz domowych. Poza tym przetwory owocowe, miody, dżemy itd.

Pawilon Łowiecki zorganizowany na wysokim poziomie dał pierwszorzędny obraz miejscowych trofeów myśliwskich, z których część uzyskała uznanie na Międzynarodowej Wystawie Łowieckiej w Berlinie. W Hali Rzemiosła podziwiano słynne buty myśliwskie wyrobu szewców z Dawidgródka, którzy porobili już transakcje zagraniczne na swój znakomity wyrób.

Pomysłowość organizatorów „Jarmarku Poleskiego" poszła we właściwym kierunku pokazania oryginalnych wycinków z życia poleskiego na Wystawie.

Duże zainteresowanie budziły wyroby bednarzy, garncarzy i kołodziejów poleskich, niezmiernie solidne w swym prymitywiźmie.

Gościnni rybacy polescy przyjmowali zwiedzających Wystawę w swym oryginalnym „kureniu", szałasie z trzciny i tartaku, gdzie częstowali świeżo gotowaną zupą z ryby i kartofli, zwaną „uha". Niemniej chętnie odwiedzała publiczność „zwierzyniec poleski" założony przez amatora, szofera Banku Rolnego w Pińsku, a zawierającego okazy poleskiego ptactwa i zwierzyny.

Za restauracją wystawową znajdował się spory park, ładnie utrzymany, w którym urządzono teatr na wolnym powietrzu z obszerną estradą na występy chórów i drużyn ludowych, dających tu stale przedstawienia regionalne, zwłaszcza w soboty i niedziele.







Towarzystwo rozwoju Ziem Wschodnich przez zorganizowanie pomysłowych Dni Polesia, dało możność szerokim masom polskim zapoznania się bliżej z życiem i warunkami bytu mieszkańców Polesia. Za to winniśmy Towarzystwu wdzięczność.

„DNI MICKIEWICZOWSKIE" 11-22-IX W NOWOGRÓDCZYŹNIE

W okresie „Dni Mickiewiczowskich" w Nowogródku w pierwszej połowie września były organizowane uroczystości o charakterze kulturalnym, literackim i artystycznym.

W dniu 2 września odbyło się uroczyste poświęcenie Muzeum Mickiewiczowskiego, założonego w rodzinnym dworku Wieszcza, zaś dn. 13.IX. teatr miejski w Nowogródku dał przedstawienie fragmentów „Dziadów" Adama Mickiewicza. Grali artyści teatru wileńskiego.

Pomysłowa inscenizacja ballad Mickiewicza będzie odegrana nad jeziorem Świteź. Na 14 września organizuje się „Dzień Świtezi", wycieczki nad romantyczne jezioro, dokąd przybędą artyści i orkiestry z tradycyjnym cymbalistą.

W Nowogródku będzie otwarta wystawa regionalna, odbędą się liczne zjazdy, uroczystości ludowe, dożynki, popisy młodzieży należacej do „Przysposobienia Rolniczego", wreszcie zawody sportowe, ktorych centralnym punktem będzie zjazd gwiaździsty motocyklistów Nowogródczyzny.



Świteź

WAŻNE DLA WSZYSTKICH KOLEŻANEK I KOLEGÓW

Stanęliśmy u progu nowego roku. „Młody Nurt" ma iść normalnym swoim torem przez 10 miesięcy, w okresie normalnej pracy szkolnej. W nim chcielibyśmy napewno znaleźć chwilę wytchnienia, prawdziwej radości, z jego szpalt dowiedzieć się jak pracują nasze koleżanki i koledzy w innych szkołach, przeżywać wraz z nim filmy i przedstawienia teatralne, błądzić w nieznane po całej Polsce; słowem „Młody Nurt" chcielibyśmy widzieć naszym dobrym, kochanym przyjacielem, znajomym, na przyjście którego czekamy z tęsknotą, ciekawością, co też nam przyniesie nowego.

Pamiętajcie jednak, że aby uczynić go takim, Redakcja czeka jeszcze zawsze na Was Koleżanki i Koledzy, na wszystkich, komu pismo nie jest obojętne.

Czeka na Was jako **na prenumeratorów**, na niosących pomoc w propagandzie i zdobywaniu nowych czytelników, na wymieniających z redakcją myśli, na piszących, dostarczających materiałów i sprawozdań — na wszystkich, wszystkich, którzy szukają w szkole czegoś więcej ponad suche godziny lekcji tych czy innych przedmiotów.

Zgłaszajcie się więc do nas Koleżanki i Koledzy, deklarujcie waszą współpracę. — Wierzymy, że na terenie każdej szkoły znajdzie się jeden, dwu, czy trzech Kolegów czy Koleżanek, którzy podejmą się w imię dobra pisma, sprzedaży „Młodego Nurtu".

Wierzymy dalej, że znajdzie się jeden czy dwu Kolegów czy Koleżanki, którzy będą mogli **korespondować**, nadsyłać sprawozdania, felietony, nowele, wiersze, zdjęcia i wszystkie inne materiały. Termin nadsyłania 5 i 20 każdego miesiąca.

Ambicja każdej szkoły winna znaleźć swój wyraz w „Młodym Nurcie".

Szanujmy, cenmy własne pismo ułatwieniem mu co raz doskonalszego bytu przez ścisłą z nim współpracę w ciągu całego roku.

Czekamy na Was wszystkich z nadzieją, że nie odrzucicie naszej koleżeńskiej oferty, posłuchacie naszego wezwania i że współpraca nasza w ciągu 10 miesięcy, stojących jeszcze ugorem, ułoży się znakomicie.

Tymczasem nie zapominajcie o opisie wrażeń z wakacji i o Wielkim Konkursie.

Redakcja

ODPOWIEDZI REDAKCJI

W odpowiedzi na liczne zapytania Koleżanek i Kolegów, dotyczące K.M.P.M., redakcja komunikuje:

Klub Morski Prasy Młodych został powołany do życia w dniu 1-VI br. przy L.M.K. Celem K.M.P.M. jest zbliżenie prasy młodzieżowej do zagadnień morskich oraz umożliwienie jej spełnienia roli krzewicielki świadomości morskiej w młodym pokoleniu, którego dziejowym zadaniem będzie utrwalenie i potęga Polski na morzu.

Członkami Klubu są współpracownicy pism młodzieżowych, zajmujących się kwestiami morskimi, którzy ukończyli szkołę średnią. Wejście, po opuszczeniu szkoły do zrzeszenia Klubu ułatwi współpraca z pismami szkolnymi i pisanie na tematy morskie.

Klub posiada narazie tylko jeden **oddział w Warszawie ul. Widok 10,** gdzie należy kierować wszystkie zapytania.

Kol. R. N. Kraków. Za miłe słowa uznania i zachętę do dalszej pracy bardzo dziękujemy. Numery do kolpartażu nadeślemy. Prosimy o materiały. Przesyłamy wzajemnie serdeczne pozdrowienia.

Kolega B. K. Nowy Targ. Odpowiedź dotyczącą K.M.P.M. znajduje kolega wyżej. Prosimy o nadsyłanie artykułów o morzu do „Młodego Nurtu". Za serdeczne słowa uznania dziękujemy, przesyłamy koleżeńskie pozdrowienie.

Kolega A. S. Nowy - Targ. Na propozycję kolegi zgadzamy się. Prosimy o nadsyłanie materiałów do dnia 5 i 20 każdego miesiąca i o podanie administracji nazwiska kol. kolportera. Przesyłamy pozdrowienia.

Kolega J. K. Kielce. Współpracę przyjmujemy. Prosimy nadsyłać wszystko: o pracy w szkole, o organizacji koła poetyckiego, o sposobie redagowania i powodzeniu pisma szkolnego, — wiersze, nowele, felietony. Czekamy. Nadesłane wiersze zamieścimy. Ślemy pozdrowienia i prosimy o zorganizowanie kolportażu.

RECENZJA

„Mniemam, żę zrobię ci przyjemność, zanosząc o niektórych szczegółach życia ludzi, którzy dla żyjących z nimi byli ludźmi, a nam się nadzwyczajnymi istotami być zdają"

Z listu Odyńca do Czeczota

Wanda Dobaczewska „Tam gdzie się serca palą..." wyd. Roju W-wa, 1938.

Książka Wandy Dobaczewskiej wprowadza nas w świat filaretów i filomatów, w lata (1820—22), kiedy groźne widmo śledztwa wileńskiego wisiało nad uniwersytetem, a młodzież dusiła się w warunkach wytworzonych z jednej strony swobodami konstytucyjnymi królestwa konkresowego, z drugiej niewolą ziem zabranych.

Przesuwa się przed oczami czytelnika całe Wilno, gorąco patriotyczne salonu p. Wysogierdowej i tow. Szubrawców; zatroskane w walce o chleb codzienny mamy Łuczkowej i obce, cudzoziemskie, nieprzyjazne Franka i Bojanusa.

Świat studencki poznajemy oczyma szesnastoletniego Olesia Łuczki, wymykającego się z domu, mimo sprzeciwu i biadowań matki, na uroczystość „Pocałowania i mleka". I wtedy właśnie ci, którzy „nam się nadzwyczajnymi istotami być zdają", stają się gromadą inteligentnych chłopaków, którzy obok poważnych zebrań urządzają także koleżeńskie fety, nie gardzą winem, wesołą piosenką, a nawet ryzykownym żartem.

Powoli i stopniowo zostajemy wraz z najmłodszym filaretą Olesiem wprowadzeni w centrum życia promienistych. Poznajemy tych wszystkich, dla których słowa: Ojczyzna, Nauka, Cnota były treścią życia, przed którymi nie istniała żadna prywatna ani miłość, ani — rodzina: koleżeńskiego Czeczota, poważnego Jeżowskiego, wiecznie uśmiechniętego Zana. Ludzie ci nie oddalają się od nas, mimo że przechodzą chwile słabości, nie zastygają w pomnikowych pozach.

Autorka przedstawia nam młodzież sprzed przeszło stu dwudziestu lat, ale zagadnienia, które ją interesowały i dręczyły, są i dla nas aktualne; wiara w człowieka, dobro i pracę jest wiecznie żywą.

Joanna Oliasz.

SPORT



Krótki przegląd niniejszy obejmuje okres wakacyjny i pierwsze dni września b. r.

Nie Tokio, lecz Helsinki.

W połowie lipca Japonia zrzekła się oficjalnie organizowania Igrzysk Olimpijskich w roku 1940, motywując swoją rezygnację brakiem odpowiednich środków finansowych. Decyzja ta została przyjęta z niezwykłym entuzjazmem przez państwa skandynawskie, które prowadziły ostatnio bardzo energiczną akcję przeciw Olimpiadzie w Japonii.

XII Igrzyska Olimpijskie zorganizowane będą przez Finlandię, która przeczuwając zrzeczenie się Japonii wybudowała wspaniały stadion w Helsinkach.

I jeszcze jedno. Po wspaniałych Igrzyskach w Berlinie, jakże jednak dalekich od prawdziwego ducha olimpijskiego— obawiano się, być może i słusznie, że powierzenie Igrzysk krajowi, prowadzącemu wojnę zaborczą — spaczy ostatecznie istotny sens walki olimpijskiej.

Helsinki — to powrót do koncepcji czysto sportowej.



Cz. Sobieraj z drużyny Harcerskich Wilków Morskich z Poznania kajakowy wicemistrz świata.

„Kusy" znów na bieżni!

Siła emocjonalna sportu — przynajmniej dla fanatyków i bywalców — tkwi głównie w niepewności wyniku.

Taką wielką niewiadomą był bieg na 5000 m. o mistrzostwo Polski z udziałem Janusza Kusocińskiego, mistrza Olimpiady w Los Angelos i b. rekordzisty świata. „Kusy" nie wahał się podjąć grę o najwyższą stawkę — mistrzostwo Polski.

Janusz Kusociński uległ dopiero na finiszu mistrzowi Polski, Nojemu, osiągając doskonały czas 14.56,2!

Start mistrza olimpijskiego był przyjęty z płomiennym entuzjazmem przez trybuny, które w ten sposób wyraziły podziw i uznanie nie dla sportowca, lecz dla człowieka.

Boks i piłka nożna.

Bokserzy polscy rozpoczęli swój sezon niezbyt szczęśliwie, przegrywając mecz z Italią w katastrofalnym stosunku 12:4. Z polskich zawodników, poza zwycięstwami Czortkiem i Kolczyńskim wyróżnili się Jasiński oraz debiutant w wadze średniej Sułczyński. Zawiódł Sobkowiak, Kowalski i Piłat.

Zwolennicy piłki nożnej śledzą z zapałem tabelkę ligową:

1.	Ruch	pkt.	19	6.	Warszawianka	pkt.	11
2.	Wisła	„	15	7.	AKS	„	11
3.	Cracovia	„	14	8.	Polonia	„	11
4.	Warta	„	13	9.	Śmigły	„	11
5.	Pogoń	„	13	10.	ŁKS	„	8

Mistrzostwa świata!

Sam wyraz — mistrzostwa świata — wywołuje w czytelniku dreszczyk emocji. Po pasjonujących mistrzostwach świata w piłkę nożną przyszła kolej m. i. na mistrzostwa świata **w strzelaniu do rzutków.** Sport mało emocjonalny, ale sport... Może nie zwróciliśmy nawet uwagi na te mistrzostwa, gdyby nie fakt, że mistrzem świata została... Polska, bijąc Czechosłowację, Węgry i Francję.

Większe zainteresowanie wzbudziły **kajakowe mistrzostwa świata,** które odbyły się w Waxhoms pod Sztokholmem. Na zawodach tych duży sukces osiągnął Polak Czesław **Sobieraj,** zajmując **2-e miejsce** biegu na 10.000 m. a 4-e na 1000 **m.**

W mistrzostwach kolarskich świata w Amsterdamie Polacy nie odegrali dużej roli, odpadając w przedbiegach.

Wimbledon, Davis - Cup i Mitropa - Cup.

W okresie letnim święci triumfy „biały sport" — tenis. Wimbledon, Forest - Hill, Davis - Cup i wreszcie Mitropa - Cup — oto imprezy, które przykuwają uwagę sportowców. Tegoroczne mistrzostwa Wimbledonu — nieoficjalne mistrzostwo świata — zdobyła Helena Wills - Moody, bijąc w finale również Helenę Jacobs. Jak wiadomo Jacobs wyeliminowała w ćwierć - finale Jędrzejowską 6:2, 6:3.

Teniści polscy uzyskali niezwykły sukces, bijąc osłabioną drużynę Jugosławii 6:0 i remisując z Czechosłowacją 3:3. Tym samym Polska zdobyła puhar Europy środkowej.

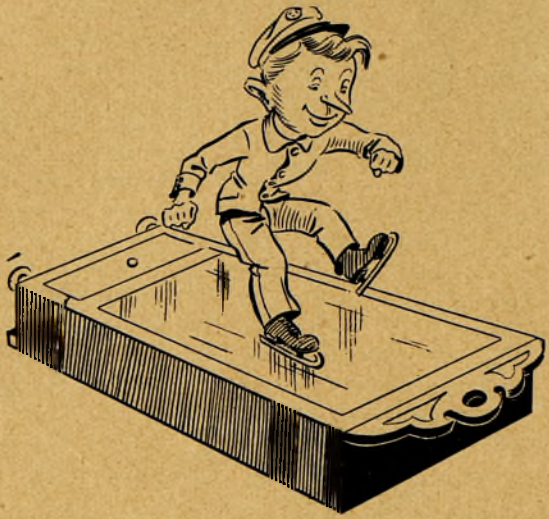
Mistrzostwa Europy.

Wyjazd lekkoatletów na mistrzostwa Europy do Paryża zakończył się niestety fiaskiem. Zamiast tytułu mistrza Sznajder uzyskał zaledwie czwarte miejsce wynikiem 4 m. Gąsowski nie startował spowodu choroby. Noji zajął piąte miejsce uzyskując czas 14:47,8. Stosunkowo najlepiej powiodło się Gierucie, który zdobył tytuł wicemistrza Europy w dziesięboju. Noji, Staniszewski, Zasłona, Pławczyk nie odegrali wybitniejszej roli, plasując się na dalszych miejscach.

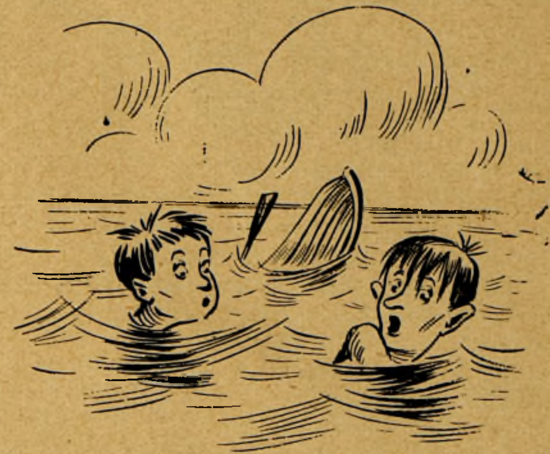


Wicemistrz Europy w dziesięcioboju. — Gierutto skacze.

HUMORESKI



Grześ Fujarkiewicz uprawiał podobno suchą zaprawę łyżwiarską.



— Czy blisko jest ziemia?
— Jakieś 30 metrów.
— W jakim kierunku?
— W głąb.



Wynoś się stąd! Nie widzisz, że to jeszcze szczeniak i nie wolno go mięsem karmić?!



O! Kazio bije rekord Polski.

„Młody Nurt" – przyjacielem młodzieży!

REDAKTOR: Bolesław T. Łaszewski. WYDAWCA: „Instytut Wydawnictw Współczesnych".

Prenumerata roczna (10 miesięcy) — zł. 2,80, kwartalnie — 0,85. Numer pojedyńczy 15 gr. Konto rozrachunkowe nr 362.

Ceny ogłoszeń: 1/1 — 500 zł; 1/2 — 275 zł; 1/4 — 150 zł; 1/8 — 80 zł.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Myśliwiecka 3. Codziennie od 10—14, ponadto we wtorki i piątki od 16.30—18.30. Tel. Redakcji 8-63-66. Tel. Administracji 9-95-62.

Drukarnia »Społeczna«, Warszawa, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80.